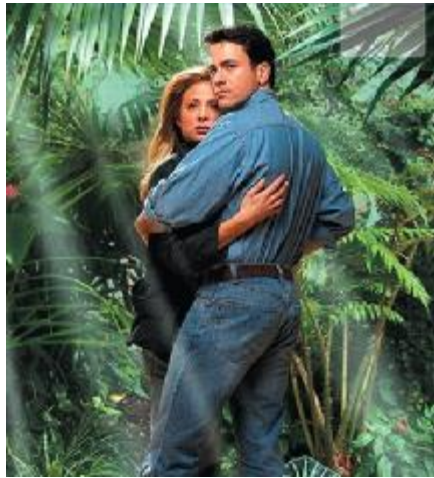




Tina Beckett



W sercu dżungli

Tytuł oryginału: Doctors Guide to Dating in the Jungle

ROZDZIAŁ PIERWSZY

– Na taką otwartą ranę wystarczy nałożyć jałowy opatrunek.

Doktor Matt Palermo, w trakcie resekcji tętnicy udowej, puścił te słowa mimo uszu, zdając sobie sprawę, że uwagi kolegi nie należy traktować dosłownie. Na sąsiednim stole leżał pacjent w równie ciężkim stanie, ale ten człowiek nie miał stopy, która została gdzieś w głębi amazońskiej dżungli.

Matt westchnął sfrustrowany. Doskonale wiedział, co przeżywa kolega. Gdy po raz pierwszy znalazł się w tym regionie Amazonii, doświadczył takiego samego poczucia porażki i bezradności. Teraz też czasami popadał w taki nastrój, ale nie miało to nic wspólnego z Brazylią, lecz z dramatycznymi przeżyciami w Tennessee. Nawet atak dengi, której nabawił się dwa lata temu, był niczym wobec wstrząsającej informacji, która odmieniła jego życie: „Przykro nam... ale zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy”.

Otrząsnął się, po czym przyjrzał uważnie zamkniętej tętnicy, by na koniec założyć szwy.

– Pomóc ci? – zapytał, przenosząc wzrok na kolegę, który bezwładnie siedział na krześle. Pacjent spał, nieświadomy, że od tej pory jego życie będzie wyglądało inaczej.

– Skończyłem. – Nie patrząc na Matta, mężczyzna podrapał się w głowę, rozgarniając włosy zlepione potem i żelem. Prorocza wypowiedź. Ten doktorek z wielkiego miasta po dwutygodniowej przygodzie na pokładzie szpitala pływającego w Amazonii wkrótce wsiądzie do samolotu, by wrócić do szpitala w Chicago, sterylnego bloku operacyjnego i

dyskretnej muzyki w tle. Jego noga więcej w Brazylii nie postanie. Nigdy.

Za to on, Matt, dalej będzie toczyć przegraną walkę z naturą.

Gdy Stevie Wilson wysiadła z samolotu, fala gorąca niemal powaliła ją na ziemię. Przez moment miała wrażenie, że upadnie na rozgrzany asfalt.

W Coari było goręcej, niż sobie wyobrażała.

Zsunęła na oczy okulary przeciwsłoneczne, westchnęła z ulgą i ruszyła w stronę człowieka, który wyrzucał bagaże z luku samolotu.

– *Oi, Senhor! Cuidado com a mala vermelha, por favor!*

Mężczyzna szeroko się uśmiechnął, uniósł do góry kciuk, po czym na przekór jej prośbie cisnął jej torbę lekarską na stertę walizek.

Skrzywiła się. Gorzej nie będzie.

Idąc w stronę terminalu, modliła się w duchu, by ktoś tam na nią czekał. Wcześniej miała do czynienia wyłącznie z szefową *Projeto Vida*, i to przez krótką chwilę, przez telefon: „Niech kandydat drogą elektroniczną prześle wniosek, swoje cv i kopię dyplomu lekarskiego. Skontaktujemy się z nim”. Kobieta rozłączyła się, nim Stevie zdążyła sprostować, że pyta we własnym imieniu, a nie „kolegi”.

Ku jej zaskoczeniu niedługo po tym, jak przekazała dokumenty, otrzymała pozytywną odpowiedź wraz z listą obowiązkowych szczepień oraz formalności. Miesiąc później wylądowała w Coari. Wolna.

Wolna od niewiernego narzeczonego, który jednocześnie piastował stanowisko dyrektora szpitala, i od zawirowań powstałych na skutek zerwanych zaręczyn. Wolna od spojrzeń personelu, które podkopywały jej wiarę w siebie. Teraz zajmie się tym, po co poszła na medycynę: leczeniem chorych. Choćby nawet na pokładzie szpitala pływającego po Amazonce.

Pomachała krajem bluzki, by trochę ochłodzić skórę. W tej samej chwili minął ją wózek jadący w stronę sterty bagażu. Dzięki Bogu, że nie

musi martwić się o resztę rzeczy, ale jeśli jej torba lekarska teraz jest na samej górze, to za chwilę...

Zawróciła i puściła się biegiem, wymachując rozpaczliwie rękami. Mężczyźni patrzyli na nią zdziwieni. Zatrzymawszy się, wskazała na swoją torbę, mówiąc po portugalsku, o co jej chodzi. I chociaż był to europejski portugalski, a ostrzegano ją, że brazylijski nieco się różni, zrozumieli. Zdjęli torbę i tym razem podali jej do ręki.

– *Obrigada.* – Wręczyła im napiwek, prosząc, by resztę jej bagażu wnieśli do terminalu, ale wzięła jeszcze swoją walizkę na kółkach.

Minutę później znalazła się w hali, w której nie było ani klimatyzacji, ani nawet wiatraka pod sufitem, więc panował tam upał większy niż na zewnątrz. Prócz niej, obsługi lotniska oraz kilku pasażerów, z którymi powietrzną taksówką przyleciała z Manaus, nie było nikogo więcej.

Po raz pierwszy zważyła, czy podjęła słuszną decyzję. Spodziewała się na lotnisku jeśli nie entuzjastycznego powitania ze strony bandy umęczonych lekarzy, to przynajmniej jednej osoby, która by jej pomogła dotrzeć na statek. Podeszła do stanowiska obsługi, by zapytać, czy ktoś ich poinformował o przylocie lekarza.

– *Ninguem, Senhora, desculpa.*

Nie takiej odpowiedzi oczekiwała. Stojąc pośrodku hali, czuła, że ogarnia ją strach. Mimo butów na płaskim obcasie lekko się zachwiała, więc schowała rączkę walizki, położyła walizkę na podłodze i na niej usiadła. Zastanawiała się, czy nie powinna pochylić głowy na kolana. Nie, bo mogłaby przegapić osobę, która po nią przyjdzie, więc siedziała z głową opartą na dłoniach.

Oddychała spokojnie i powoli.

Na pewno ktoś po nią się zgłosi.

Do hali wszedł mężczyzna. Rozejrzał się, po czym ruszył do stanowiska informacji. Ubrany był zdecydowanie inaczej niż obsługa lotniska. Stevie wyprostowała się i uśmiechnęła w nadziei, że przyszedł po nią, ale on tylko omiół ją wzrokiem, po czym ze ściągniętymi brwiami podjął rozmowę z kobietą z informacji. Gdy wskazała na Stevie, Stevie mu pomachała, ale ręka jej opadła, gdy jego wzrok powędrował dalej. Jakby była przezroczysta!

Iskierka nadziei zgasła.

– *Onde?* – zapytał.

– *A loira sentada na mala, Senhor.*

Blondynka na walizce? Stevie na wszelki wypadek spojrzała za siebie. Nikt inny nie siedział na walizce.

Mężczyzna nareszcie zrozumiał. Ociągając się, podszedł do niej.

– To ma być dowcip?

– Słucham? – Gdy podniosła głowę, by na niego spojrzeć, okulary zsunęły się jej z nosa i upadły na betonową posadzkę, roztrzaskując się.

– Przyjechałem po doktora Stefana Wilsona – oznajmił, przekręcając imię.

Przygryzła wargę, przytłoczona jego wzrostem, zwłaszcza że sama siedziała.

– Stefani, nie Stefan. Stefani Wilson, ale mówią na mnie Stevie.

Zaklął, przegarniając włosy palcami, po czym z tylnej kieszeni spodni wyjął plik dokumentów.

– Na podaniu jest „Stefan”. Spodziewałem się mężczyzny.

Hm, może on rzeczywiście jej nie akceptuje. Wzięła od niego dokumenty. Tak, na końcu imienia brak „i”.

– Nie rozumiem, jak to się stało. Sama je wypełniłam i przesłałam

szefowej *Projeto Vida*. – Przerzucała kartki, aż trafiła na kopię dyplomu. – O, tutaj. Na dyplomie jest

„Stefani”. Dołączyłam też kopię zdjęcia z paszportu... ale jej tu nie widzę.

– Super – mruknął, chowając dokumenty. – Wygląda na to, że sam się wrobiłem.

Kobieta. W głowie mu się nie mieściło, by Tracy odważyła się na coś takiego, zwłaszcza że wyraźnie prosił o faceta. Przecież Tracy wie, jak wygląda ta praca. Do tej pory nikt, nawet ci trzej ostatni, nie wytrzymał tak ciężkich warunków. Tracy uważa, że przetrwa tu to kobieciątko? Że potrafi amputować cuchnącą i gnijącą kończynę?

Popatrzył na jej białą bluzkę, niemal przezroczystą w przepoconych miejscach. Przynajmniej cienka i przewiewna, a to bardzo... praktyczne. Na inny przymiotnik sobie nie pozwolił. Zauważył kroplę potu na granicy jej jasnych włosów, która powoli spłynęła po szyi na obojczyk, zatrzymała się, jakby się zastanawiała, po czym obrała jedynie słuszny kierunek: prosto w dół. Odwrócił wzrok.

– Proszę o tym zapomnieć. Tutaj pani nie zostanie. – Spiorunował ją wzrokiem, jakby chciał ją przepędzić z powrotem do jej wychuchanego szpitala. Jak szuka przygód, to trafiła pod zły adres. Co więcej, on nie życzy sobie, by jego umysł zbaczał na niewłaściwe tory.

– Mam zapomnieć?! Chyba pan żartuje! Pokonałam cztery tysiące mil, żeby tu się dostać. – Rzuciła mu wojownicze spojrzenie. – Jestem kardiochirurgiem...

– W dżungli są niepotrzebni. – Nie zwracał uwagi na głos rozsądku, który podpowiadał, że mogłaby się zająć nogą, którą ratował sześć tygodni temu.

– Mam też za sobą rezydenturę na ratunkowym, a to znaczy, że nieobca jest mi sztuka segregacji.

– Sztuka segregacji? – Roześmiał się drwiąco. – Może tam, skąd pani przyleciała, to jest sztuka, ale segregacja na polu walki to coś całkiem innego.

Zauważył pulsującą tętnicę na jej szyi. Ze złości czy ze strachu? Na pewno ze strachu. To dobrze. Jest szansa, że niedługo zwinie manatki i ucieknie do domu jak Craig, a przed nim Mark. A on na pewno ani razu nie spojrzął na ich tętnicę szyjną!

Tragarz postawił obok niej trzy wielkie czerwone walizy do kompletu z walizką, na której siedziała. Czyściutkie, ewidentnie kupione na tę podróż. Aż dziw, że nie ma na nich wyhaftowanych różyczek albo haseł w stylu „Ratujmy lasy deszczowe”, jak na T – shirtach Craiga.

Tragarz uniósł do góry trzy palce, jakby pytając, czy to cały bagaż, a ona pokiwała głową. Mężczyzna odszedł, nie czekając na napiwek. Zapewne się zorientował, że nie ma na co liczyć. Matt podniósł wzrok do nieba. Ona nie ma pojęcia o tym kraju.

– Pewnie nawet nie mówi pani po portugalsku.

– Przegrał pan. A jeśli chodzi o segregację rannych na polu walki, to gdy po raz ostatni miałam w ręku podręcznik historii, dowiedziałam się, że Brazylia jest państwem nastawionym pokojowo. – Zebrała z podłogi potłuczone okulary i wrzuciła je do torby. Gdy wstała, sięgała mu ledwie do ramienia.

– Nie wszystko można wyczytać z podręcznika.

– Racja.

Jej śpiewny głos jeszcze bardziej wyprowadził go z równowagi. Kobieta. Jak tylko spotka Tracy, da jej popalić. Ale w tej chwili Tracy była

nieosiągalna, a przed nim stała doktor Stefani Wilson.

– Wątpię, czy się pani sprawdzi w tej pracy.

– Doprawdy? – Przewiesiła torbę przez ramię. – Hm... chyba nie miałam przyjemności...

– Matt – przedstawił się. – Matt Palermo.

– Proszę pana, zmartwienie, czy odnajdę się w tej pracy, niech pan zostawi mnie, dobrze? Kiedy mnie pan zaprowadzi do Tracy, która uznała, że się do tej pracy nadaję, szybko przestanie się pan denerwować.

– Mało prawdopodobne.

– Dlaczego?

– Z dwóch powodów. Po pierwsze, jeżeli podejmie się pani tej pracy, to bardzo długo będę się denerwował, a po drugie, widzę, że Tracy nie poinformowała pani o warunkach zakwaterowania.

– Poinformowała mnie. Będziemy mieszkały na pokładzie szpitala płynącego od wioski do wioski. I tak przez kilka tygodni bez przerwy.

– Pani i Tracy... – Uśmiechnął się, bo nagle zdał sobie sprawę, że ona o czymś nie wie. Czy to po prostu pomyłka, czy Tracy coś kombinuje?

– O co chodzi? Uważa pan, że dwie kobiety sobie nie poradzą?

– To, co ja myślę, jest bez znaczenia, bo inaczej Tracy by pani nie zatrudniła.

– To przykre, co pan mówi.

– Nie wydaje mi się. To nie z Tracy będzie pani mieszkać.

Zamrugnęła zdziwiona.

– W porządku. Nie ona, to ktoś inny. Nieważne kto.

– Na pewno?

– Na pewno. – Skubała brzeg bluzki.

– Więc gdyby się pani zdecydowała na tę pracę, to proszę wiedzieć, że

my, pani i ja, będziemy mieszkać razem.

– Pod rąbkiem bluzki mignął mu kawałek ciała i nagle zaschło mu w ustach. – Pod jednym dachem. Całymi tygodniami, a nawet miesiącami.

Na chwilę ją zatkało.

– Mnie to nie przeszkadza. Poza tym na pokładzie będzie jeszcze jeden lekarz w roli przyzwoitki, jeśli się pan obawia, że się na pana rzucę. – Uniosła brwi. – Jest pan kapitanem na tym statku? Kucharzem?

Roześmiał się.

– Na pani nieszczęście nie jestem ani jednym, ani drugim. I jeśli znajdzie się pani na tej łajbie, to będzie pani skazana na mnie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu.

– Dlaczego? – Przygryzła wargę, jakby pojęła, że czeka ją coś okropnego.

– Ponieważ to ja będę pani towarzyszył. Bo to ja jestem jedynym lekarzem w promieniu stu mil.

ROZDZIAŁ DRUGI

Siedziała w land – roverze, opierając się o drzwi, gdy manewrowali między dziurami w drodze. W te, których nie udało się ominąć, po prostu wjeżdżali.

Stevie próbowała uporządkować myśli. Okej, wprowadzenie do nowej pracy nie odbyło się zgodnie z jej oczekiwaniami. Nie było powitalnych okrzyków ani słów wdzięczności. Wyszedł po nią lekarz, który zachowywał się tak, jakby chciał, by zniknęła z powierzchni ziemi.

Co z tego? Nie przyjechała tu po pochwały, a po to, by pomagać ludziom.

Przypomniał się jej śmiech Michaela, gdy pokazała mu artykuł poświęcony *Projeto Vida*.

– Poważnie?! Jaki lekarz szuka pracy w dżungli?

Zawstydzona, że ten pomysł ją fascynuje, śmiała się razem z nim, po czym wyłączyła komputer. Prawdę mówiąc, rozważała tę możliwość już od roku. Wydawało się jej wtedy, że i Michaelowi przyświeca idea niesienia pomocy potrzebującym. Bo co innego sprawiło, że podjął się kierowania szpitalem publicznym?

Na pewno nie chęć posiadania na wyłączność pokoju w szpitalu, gdzie go przyłapała *in flagranti* z jedną z lekarek. Co gorsza, w dniu swoich urodzin.

Znowu zalała ją fala upokorzenia. Dlaczego nie potrafi przejść nad tym do porządku?

Jej nowy znajomy musiał coś wyczuć, bo spojrzał na nią, więc unosząc wyżej głowę, mocniej wcisnęła się w siedzenie. To, że ten lekarz nie jest nią

zachwycony, nie oznacza, że ona natychmiast wróci do Nowego Jorku, mimo że ma na to wielką ochotę. Umówiła się na dwa lata i dotrwa do końca kontraktu.

– Dlaczego zrezygnowała pani z Nowego Jorku, żeby nadstawiać swoją piękną główkę w dżungli?

– A dlaczego inni to robią?

Przyjrzał się jej badawczo, po czym odwrócił wzrok.

– Czasami podejmują nieprzemyślane decyzje.

– A czasami chcą pomagać.

– Owszem, dwaj ostatni lekarze, którzy „chcieli pomagać”, wyjechali przed upływem miesiąca. Byłoby lepiej, gdyby na rzecz akcji *Projeto Vida* po prostu wysłali czek internetem.

– Teraz pieniądze zastępują lekarzy?

Mocniej zacisnął palce na kierownicy.

– Nie, ale to, że twarze się zmieniają za każdym razem, kiedy docieramy do wiosek, wcale nam nie pomaga.

– Ma pan na myśli zdobywanie zaufania?

– Tak, coraz o to trudniej.

O tak. Ona wie coś o tym.

– Za każdym razem, jak ktoś wyjedzie, musi pan na nowo oswajać mieszkańców wiosek z jego następcą? Jak długo pan pracuje dla *Projeto Vida*?

– Długo.

– Może pora samemu spakować manatki, doktorze?

– Nie. Jak chcesz na próbę ze mną popłynąć, to mów mi Matt. Chłopi też będą się do ciebie zwracali po imieniu.

Puściła mimo uszu uwagę o imionach.

– Na próbę? Podpisałam umowę na dwa lata.

– Inni też – mruknął.

– Może jestem twardsza. – Uśmiechnęła się do niego. – Może nawet taka twarda jak ty.

– Wątpię.

– To zabrzmiało jak wyzwanie.

– Tak? – Mogłaby przysiąc, że wargi mu drgnęły, a czoło lekko się wygładziło.

– Tak. I możesz kiedyś tego pożałować, bo ja rzadko nie podejmuję rzuconego mi wyzwania.

Chyba że to wyzwanie padło z ust jej wiarołomnego byłego, gdy szykowała się, by prysnąć. „Jeżeli odejdiesz, znajdziesz się na czarnej liście!” To wykrzyczane ostrzeżenie tylko wzmocniło jej decyzję o opuszczeniu szpitala. Oraz jego.

– Niedługo będziemy mieli okazję to sprawdzić – stwierdził Matt, opierając dłoń na dzielącym ich siedzeniu. Na jednym z palców zauważyła świeżą ranę, a na wierzchu dłoni liczne blizny. Oto człowiek, który nie boi się ryzyka i daje z siebie wszystko. Podobnie jak ona. Jakiś czas temu też zarobiła kilka blizn.

– Stosujesz zabezpieczenie?

Matt uniósł wysoko brwi.

– Słucham?

Oj, fatalnie wyszło.

– Rękawiczki chirurgiczne – wyjaśniła, dotykając miejsca tuż przy zranieniu. – Zwłaszcza jak się skaleczysz.

– Oczywiście.

– Słusznie. – Kiwnęła głową, trąc opuszkami palców o udo, by

zetrzeć z nich wrażenie wywołane kontaktem z jego dłonią. Gdy ściągnął brwi, zorientowała się, że to zauważył. Zrobiło się jej jeszcze bardziej gorąco, więc odwróciła wzrok. – Ile jeszcze do rzeki?

– Około pół godziny.

Na kolejnej dziurze w drodze autem tak szarpnęło, że musiała przytrzymać się uchwyty.

– Przepraszam – odezwał się. – Zapomniałem, że nie jesteś przyzwyczajona do takich dróg.

– Nie szkodzi. Dobrze, że nie jest to jeden wielki plac budowy jak Nowy Jork.

Odezwała się jego komórka. Zahamował, po czym wyjął telefon z pokrowca przy pasku. Mocno zdziwiona, że się zatrzymał, spojrzała wstecz, ale nikt nie nadjeżdżał, droga była pusta. Być może Matt jest bardziej ostrożny, niż myślała.

– Halo? – Słuchał jakiś czas. – Tak, już tu jest. Przecież jasno powiedziałem, co chcę. Muszą być jakieś inne podania... – Westchnął. – Szukaj dalej, dobra?

Koniec udawania. Matt w dalszym ciągu chce jak najszybciej wymienić ją na kogoś innego, a to by oznaczało, że zostanie bez pracy, chyba że wróci na kolanach do Michaela. O nie, tak nie będzie.

– Nie wiem. Ma masę waliz, ale nic nie mówiła o... Czekał. – Odsunął komórkę od ucha. – Masz moskitiery?

Stevie pokiwała głową.

– Sto pięćdziesiąt, tyle zamówiła Tracy. Mam też karton chusteczek przeciw owadom. – Ściągnęła brwi. – Myślałeś, że w tych walizach są moje kreacje?

Odwrócił wzrok. Dobra, w tej kwestii źle ją oszacował.

– Tak, przywiozła.

– To dobrze – usłyszał głos Tracy. – Matt, daj jej szansę.

Oboje wiemy, że musisz mieć drugiego lekarza. I nie gadaj głupot. – Matt uśmiechnął się krzywo. Za późno, bo już kilka razy palnął głupstwo.

Spojrzał na Stevie. Patrzyła w przeciwną stronę, pokazując, że nie chce mu przeszkadzać. Z koka wysunął się jej kosmyk włosów, łagodnie opadając na plecy. Nagle ogarnęła go dziwna tęsknota. Dlaczego Tracy przysłała mu kobietę? Nie zdawała sobie sprawy, jak zapalna może stać się sytuacja na statku? Otrząsnął się. Tracy czeka.

– Rozumiem, mam nie gadać głupot. Postaram się.

Tracy się roześmiała.

– Nie zmuszaj mnie, żebym tam przyjechała.

Chciałby bardzo, by Tracy na własne oczy zobaczyła efekt swojego szaleństwa, ale wiedział, że nie może beczynnie stać w porcie. Już samo czekanie na przyłot Stefani opóźniło go o dwa dni, a ludzie go potrzebują. Jak tylko znajdą się na pokładzie, ruszą w drogę.

– Doceniam twój niepokój, ale zwracam ci uwagę, że jestem dużym chłopcem.

– Wiem i liczę, że będziesz się odpowiednio zachowywał.

Wstęgi oblażającej białej farby na części kadłuba, reszta niepomalowana. Stevie miała wrażenie, że widzi swoje lustrzane odbicie. Na pewno nie to miał Matt na myśli, mówiąc o segregacji rannych na polu walki, chociaż stateczek wyglądał tak, jakby dopiero co brał udział w bitwie morskiej. I wrócił jako pokonany.

Nie, to nie może być pływający szpital, pomyślała, wysiadając z land-rovera. Matt tymczasem wypakowywał jej bagaż.

Szeroki uśmiech na twarzach dwóch mężczyzn, którzy zeszli z pokładu

na ład, potwierdził jej obawy. Ta obdrapana krypa przez dwa tygodnie będzie jej domem. Wolne żarty. A co powiedzieć o dwóch latach? Zacisnęła powieki. Podpisała umowę. Na dwa lata rezygnuje z życia. Zanim opuści Brazylię, przekroczy trzydziestkę.

Matt przywitał mężczyzn, klepiąc ich po plecach, po czym przystąpił do prezentacji.

– To jest Nilson, a to Tiago. Poznajcie Stefani Wilson, nowego członka naszego zespołu.

Mówił po portugalsku, żeby wszystko było dla niej jasne, ale mimo to musiała bardzo się skupiać, by zrozumieć ich odmienny akcent. Przyjęli ją serdecznie, o wiele serdeczniej niż Matt, po czym podnieśli walizy, jakby były lekkie jak piórko, i zawrócili na statek.

Zgasła ostatnia iskierka nadziei, że to nie ta łódź, zwłaszcza że na rufie Stevie przeczytała wymalowane krzywymi literami *Projeto Vida*.

– Wreszcie w domu... – Dźwięk szorstkiego głosu Matta sprawił, że Stevie przeszył dreszcz.

Spojrzała na niego, ale wpatrywał się w stateczek. No, chyba nie jest źle, jak facet potrafi się tak wzruszać. Może powinna spojrzeć na sytuację z innej strony?

– To tu, tak?

Pokiwał głową, szacując ją chłodnym wzrokiem.

– Jesteś gotowa do ucieczki?

– Ja nie uciekam.

– Nie? – Ton jego głosu kazał się zastanowić, czy Matt wie o niej więcej, niż okazał. No to co? Ona nie ma nic do ukrycia. Poza raną w sercu. I notatką o zwolnieniu dyscyplinarnym w aktach.

Nie, tego też nie ukrywała. Poinformowała Tracy, że „kolega”

skonfliktował się ze szpitalem, ale nie zrobił nic złego. To dlaczego ukrywała, kim jest, mówiąc o „koledze”? Przecież otrzymawszy jej dokumenty, Tracy musiała się zorientować, że rozmawiając z nią przez telefon, Stevie mówiła o sobie.

– Nie, nie mam zamiaru uciekać. – Nie tym razem. Nawet gdyby statek nazywał się „Tyfusowa Mary”.

Zabiła na ramieniu komara i natychmiast przyszło jej do głowy, że mógł być nosicielem jakiejś śmiertelnej choroby. Ucieczka nie byłaby złym wyjściem.

– Musisz stosować środek odstraszający. Nie wiadomo, dlaczego bardziej się rzucają na nowo przybyłych niż na miejscowych. Chyba nowi mają słodsza krew.

– Ciebie na pewno nie gryzą – odcięła się.

Dziesięć reakcja. Nieznacznie się uśmiechnął, jednocześnie masując kark, jakby chciał zmniejszyć napięcie mięśni.

– Gotowa do roboty?

– Po to tu jestem – warknęła. – Przepraszam, złóż to na karb długiego lotu.

– Nie ma sprawy. – Gdy pokręcił głową na boki, usłyszała charakterystyczne chrupnięcia. Westchnął z ulgą.

– Masz problemy z kręgosłupem? – Za nic w świecie się nie przyzna, że zanim poszła na medycynę, liznęła trochę kręgarstwa.

– Nic poważnego, po prostu się starzeję.

Jej uwagę przykuła jego postawa, lekki skręt tułowia świadczący o bólu. W samochodzie tego nie zaobserwowała, a to znaczy, że ból jest jednostronny. Co mu dolega? Daj sobie spokój, to nie twoja sprawa.

– Wchodzimy na pokład? – zapytała.

– Jeśli jesteś na to przygotowana...

Skóra jej ścierpła. Wewnątrz nie może być gorzej niż na zewnątrz. Nawał pracy to rzecz zrozumiała, ale braku higieny i sterylności nie zniesie.

Na brudnym pokładzie ogarnęło ją przygnębienie.

– Przyjmujesz pacjentów na statku?

– Tak, w gabinecie, który jest też salą operacyjną.

Sala operacyjna. Nieźle. Może nawet borują dziury w czaszkach. Ugryzła się w język, by powstrzymać się od komentarza, którego mogłaby żałować.

W kambuzie odetchnęła z ulgą. Jedzenie przygotowują w miejscu czystym i schludnym.

– Skąd macie wodę do picia?

– Z rzeki. W ten filtr na blacie wyposażyła nas pewna organizacja pomocowa. To urządzenie trzyetapowe. Najpierw eliminuje zanieczyszczenia, potem naświetla wodę promieniami ultrafioletowymi, żeby zabić większość bakterii, a w rejonach endemicznej cholery dodatkowo chloruje wodę. – Podniósł z podłogi pustą plastikową butlę. – Zanim dostaliśmy filtr, trzymaliśmy wodę w takich butlach. Mycie do zabiegu było wtedy dosyć skomplikowane.

– Domyślam się. – Podeszła do urządzenia filtrującego. Stalowa obudowa lśniła czystością. Może nie będzie aż tak źle. – Słyszałam, że są takie filtry... Wygląda to jak wyposażenie NASA.

– Podobno analogiczny system działa na stacji kosmicznej. – Stał w drzwiach oparty o framugę. Mimo że był szczupły, wypełniał całe wejście. Stevie nagle poczuła się jak w klatce. Nie wiadomo dlaczego, bo Matt wcale jej nie zagraża. No, jest groźny, bo gdy na niego patrzy, krew zaczyna jej buzować. Groźny w dwójnasób, odkąd straciła do siebie zaufanie w kwestii

wyboru mężczyzn. Być może dla innych najlepszym wyjściem jest bezpośrednio zmierzenie się z problemem, ale ona wolała go unikać. Zwłaszcza takich olbrzymów jak ten w drzwiach.

– *Com licenca, Mateus.* – Matt usunął się z przejścia, by przepuścić członków załogi.

Mateus, czyli Matthew. Rzeczywiście zwracają się do siebie po imieniu. To miłe. Michael kurczowo trzymałby się konwenansu. Twierdził, że należy wymagać szacunku, by być szanowanym. Kiedyś z tym się zgadzała, ale teraz doszła do wniosku, że taki wymuszony szacunek można stracić w mgnieniu oka... albo za zamkniętymi drzwiami gabinetu lekarskiego. Poza tym w postawie tych ludzi wyczuła podziw nie wynikający z ich pozycji społecznej czy tytułów, lecz oparty na zaufaniu.

Czy kiedykolwiek dopuszczą ją do tego niewielkiego kręgu? To nie takie pewne.

– Wstawiliśmy rzeczy doktora do twojego pokoju.

Wstawili jej rzeczy do jego pokoju?! Nim zdążyła zaprotestować, Matt ujął ją za ramię.

– Chodź, pokażę ci, gdzie są twoje rzeczy.

Odsunęła się, zła na siebie, że tak reaguje.

– Dlaczego zanieśli moje walizki do ciebie? Nie wiem, co jest grane, ale...

– Odejdźmy, żeby nas nie słyszeli, okej? Już w tej chwili tematu do domysłów wystarczy im na dwa tygodnie. Wszyscy byliśmy przekonani, że nowy lekarz będzie... no, facetem. Chyba rozumiesz, że sytuacja się skomplikowała.

Nie, nie rozumiała.

– Każ im przenieść moje rzeczy gdzie indziej.

– Wolisz spać z Nilsonem i Tiagiem w pomieszczeniu dla załogi?

– Jak to?! Jasne, że nie wolę. Musi być jakaś wolna kabina. – Szli wążiutkim korytarzem.

– Nie ma. Tu jest ciasno i nie ma więcej kabin.

Nareszcie stało się dla niej jasne, dlaczego tak się zdenerwował, kiedy „Stefan” okazał się kobietą. Trochę trudno kogoś unikać, mieszkając z nim w jednym pokoju. Co robić? O matko, a jak on ma tylko jedno łóżko?! Będzie koczowała na pokładzie.

I wystawi się komarom na pożarcie?

Matt otworzył jakieś drzwi i gestem zaprosił ją do środka. Przecisnęła się obok niego, uważając, by go nie dotknąć, ale od razu uderzył ją w nozdrza czysty zapach mężczyzny, którym przeszły wszystkie rzeczy. Czy i ona tak będzie pachnieć, jeśli tu zostanie?

Przełknęła ślinę, starając się oddychać jak najpłycej. Nawet gdyby ustawić jej walizki jedną na drugiej, zostałyby tam tyle miejsca, że dwie osoby ledwie mogłyby stać.

Kamień spadł jej z serca, gdy zobaczyła dwa miejsca do spania. Dwa grubo tkane hamaki, jeden nad drugim, a nad nimi wspólna moskitiera zawieszona na haku pod sufitem, teraz ściągnięta na bok. Ale w nocy obejmie obydwie hamaki, a oni znajdą się w czymś na podobieństwo intymnego małego świata.

Gdy wpatrywała się w koc złożony na dolnym hamaku, poczuła, że ogarnia ją przerażenie. Na poduszce wymięty paperback Toma Clancy’ego „Suma wszystkich strachów”. Nic dodać, nic ująć.

Roześmiała się nerwowo.

– Pewnie wolałbyś, żebym była na górze.

ROZDZIAŁ TRZECI

Ona na górze? Podrapał się w nos, odsuwając obraz, jaki ujrzał oczami duszy.

– Nie denerwuj się – powiedział. – Przenieś się tam, gdzie śpi załoga.

– Ale jak ich kabina jest taka mała jak ta...

– Zmieścimy się. Zawieszę swój hamak nad nimi.

– Znajdziesz się pod sufitem. Nie będziesz mógł się ruszyć. – Taa, jak w trumnie. Znowu masował kark. – Chyba wiesz, że gorące powietrze idzie do góry? Jestem złana potem, chociaż stoję na podłodze. – Popatrzyła na sufit.

– Tam jest gorąco jak w piecu.

– Dzięki za wskazanie pozytywnych aspektów tej sytuacji – powiedział zirytowanym tonem.

– Nie ma za co. – Oblizła wargi. – Matt, jesteśmy dorośli. Nie musisz patrzeć... dopóki nie znajdę się w hamaku. Mogę spać w szortach i T – shircie, a nie w piżamie. Jak na noc zostawimy drzwi otwarte, a ubierać się i rozbierać będziemy w łazience...

Słuszna rada, ale normalnie on śpi nago. Nie był też pewien, jak by się czuł ze świadomością, że tuż nad nim śpi tak ponętne ciało, że wystarczy wyciągnąć rękę...

– Daj mi trochę czasu do namysłu. – Wycofał się do korytarza, a ona wzruszyła ramionami, jakby to był tylko jego problem.

– Okej. Tylko nie mów, że nic nie proponowałam.

Chyba byłoby lepiej, gdyby zakołysała biodrami, dając do zrozumienia, że jej propozycja wykracza poza przydział miejsc do spania.

Mógłby wtedy z czystym sumieniem błyskawicznie odesłać ją do Manaus. Nikomu tu nie zależy na dwutygodniowej przygodzie z komplikacjami, a dłuższa zażyłość nie wchodzi w rachubę. Ale Vickie nie ma...

Był przekonany, że po dwóch tygodniach albo nawet wcześniej Stevie zrejeruje, a nawet jeśli tak się nie stanie, to Tracy dalej będzie szukała nowego lekarza. Stevie, widząc warunki na statku, niewątpliwie zdaje sobie sprawę, w jakim znalazł się kłopotcie. Musiał liczyć się z załogą, a co gorsza, niektóre plemiona mogą nie zaakceptować niezamężnej kobiety. Gdyby statek był większy, kobiety mogłyby się znaleźć w zespole lekarskim. Albo gdyby on i Stefani byli małżeństwem...

Oszalałeś? Na samą myśl o małżeństwie zrobiło mu się niedobrze.

– Pokażesz mi resztę pomieszczeń?

– Jasne, ale najpierw powiem chłopakom, że ruszamy. – Zawahał się.

– Chyba że chcesz wrócić na lotnisko.

Wyprostowała się dumnie.

– Wiem, pod czym się podpisałam.

– Powinienem dłużej cię przekonywać i dać ci większą szansę zmiany decyzji, ale jesteśmy spóźnieni. Poza tym Tracy stale mi przypomina, że przyda mi się pomocnik. Zaraz do ciebie wrócę.

Kolejnym etapem zwiedzania pływającego szpitala były łazienki. Na informację, że woda do pryszniców jest pompowana z rzeki, Stevie lekko się skrzywiła, co nie uszło jego uwadze.

– Idzie przez filtr, więc możesz się nie obawiać, że jakieś paskudztwo wkręci ci się we włosy.

– Uff, lepiej mi o tym nie mów.

Ale gdy otworzył drzwi gabinetu lekarskiego, Stevie nie kryła zdumienia.

– Niesamowite. Przyznam, że miałam sporo obaw.

Starał się spojrzeć na gabinet jej oczami.

– Dlaczego?

– Jak zobaczyłam obdrapany kadłub, a potem łazienki... Powiedzmy, że nie bardzo wiedziałam, co mnie czeka. – Powiodła dłonią po lśniącej chromowanej krawędzi umywalki. – Ta woda też jest z rzeki?

– Tak, ale ją sterylizujemy.

– O wszystkim pomyślałeś. A odkażanie instrumentów?

– Tą samą metodą, a następnie pakujemy je w kurczliwą folię. Trochę to pracochłonne, ale zabiegów chirurgicznych wykonujemy niewiele.

Gdy odgarnęła za ucho kosmyk włosów, zauważył jej wydatne kości policzkowe oraz długie rzęsy. Miała delikatne rysy jak lalka z porcelany. Co ją skłoniło do podjęcia wyprawy Amazonką? Chce sobie coś udowodnić? Albo komuś?

Zatrzymała się między dwoma stołami ze stali nierdzewnej.

– Najnowszy model – orzekła ze znanstwem. – Potwornie drogi.

– Owszem. I dlatego reszta tej łajby nie wygląda najlepiej. – Nie do końca była to prawda, a on nie bardzo wiedział, dlaczego się tłumaczy. Mimo to brnął dalej. – Najwięcej wydajemy z myślą o pacjentach. Wychodzę z założenia, że lekarze i załoga mogą sobie odmówić pewnych drobiazków, pod warunkiem że statek jest w dobrym stanie technicznym.

Roześmiała się.

– Takich drobiazków jak prawdziwe łóżka.

– O nie. Hamaki są praktyczniejsze, bo w materacach mogą się zagnieździć przeróżne świństwa. Poza tym hamak jest chłodniejszy. Sama zobaczysz, że jest bardzo wygodny.

Przemilczał fakt, że hamak lekko się kołysze przy każdym ruchu,

niezależnie od tego, czy jego źródłem jest statek, czy inna, bardziej zmysłowa działalność.

Spojrzała na niego, jakby czytała w jego myślach.

– Chyba będę zmuszona zmienić zdanie w pewnych sprawach.

Należy jak najszybciej porzucić temat łóżek.

– W tym pomieszczeniu staramy się do minimum zredukować ryzyko skażenia, więc wstęp mają tu wyłącznie lekarze i pacjenci.

– To rozumiałe. Zatrzymujecie pacjentów na noc?

– Czasami. Na przykład jeśli musimy operować albo... – Zawahał się.

– Albo gdy zachoruje ktoś z zespołu i trzeba go przewieźć do dużego miasta.

Gdy na niego spojrzała, w jej oczach wyczytała współczucie.

– Zaszła taka konieczność? Przewiezienia kolegi?

Nie, nie podejmie tego wątku, nie dzisiaj. Uprzedzając kolejne pytania, spojrzał na zegarek. Na szczęście dochodziło południe.

– Chodźmy zobaczyć, co Tiago przygotował na lunch.

Na lunch podano potrawę jednogarnkową zwaną *caruru do Para*, z suszonych krewetek i ketmii. Pierwszy raz jadła coś takiego, ale bardzo jej smakowało.

– Dobre? – zapytał Matt.

– Rewelacja. Ketmię jadłam tylko w *jambalai*, z ryżem, kurczakiem i papryką.

Tiago, który, jak się dowiedziała, pełnił funkcję kucharza, szeroko się uśmiechnął.

Zapytała go po portugalsku, jakie jeszcze potrawy są typowe dla tego regionu. Wymienił kilkanaście nazw, które jednak nic jej nie mówiły. Zdumiewające, jak różne mogą być dwie odmiany tego samego języka.

Matt zauważył jej zmieszanie.

– Twój portugalski brzmi trochę inaczej – zauważył, w dalszym ciągu posługując się tym językiem. – Gdzie się go uczyłaś?

– W dzieciństwie siedem lat mieszkałam w Portugalii, bo ojciec pracował w ambasadzie amerykańskiej.

– Teraz wszystko jasne.

Zaniepokoiła się na widok jego ściągniętych brwi.

– Niedobrze, że mam taki akcent?

– Skądże. Tutaj inny jest szyk zdania.

– Zauważyłam.

– Bardzo ładnie pani mówi, Stefani – wtrącił Tiago.

Uśmiechnęła się.

– Oficjalnie moje imię brzmi Stefani, ale dla przyjaciół jestem Stevie.

Nie chcesz mnie tak nazywać?

– Sti – wi? – wydukał Tiago.

Nie uszło jej uwadze, że Nilson, który stał przy sterze, trzymając talerz na pulpicie sterowniczym, po cichu też wymówił jej imię.

– Doskonale!

Matt kręcił głową.

– Najpierw Stefan, potem Stefani, a teraz Stevie. Nic dziwnego, że byłem zdezorientowany co do płci.

– Teraz też? Nadal jesteś zdezorientowany?

– Zdezorientowany? – Wygiął wargi w sardonycznym uśmiechu. – Jeszcze bardziej. – Co powiedziawszy, wstał od stołu, by wstawić swój talerz do zlewu. Ponieważ to samo zrobili Tiago i Nilson, Stevie włożyła do ust ostatni kąsek pysznej potrawy i także wstała.

– Dziękuję. Bardzo było smaczne.

– Cieszę się – powiedział Tiago, gdy Matt wyszedł, po czym zniżył

głos: – Myślę, że będziesz pasowała do Mateusa. On bardzo tęskni za swoją żoną.

Żona? Matt jest żonaty? O rany, a ona go przekonywała, że mogą spać razem! Musi dowiedzieć się więcej, by jakoś wybrnąć z sytuacji. Nic dziwnego, że powiedział, że będzie spał z załogą. Poczula, że jest czerwona jak burak. Zapewniała, że nie będzie go podrywać, ale zarazem zaproponowała, że zajmie hamak tuż nad jego głową. Nie podejrzewała...

– Jego żona... – Tiago uniósł palec do nieba.

– Jak to? Nie rozumiem... – Nagle to do niej dotarło. – Och, to okropne.

Tiago zamachał rękami.

– Nie rozmawiaj z nim o niej. Może być niezadowolony, że dowiedziałaś się ode mnie.

– Oczywiście. – Chciała zadać jeszcze kilka pytań, dowiedzieć się, kiedy i jak jego żona umarła, ale uznała, że lepiej nie narażać Tiaga na kłopoty. Poza tym nie wypada plotkować za plecami Matta. Gdyby chciał, sam by jej o tym powiedział.

Ale dlaczego miałyby to zrobić? Dał jej wystarczająco jasno do zrozumienia, że nie chce jej na statku i nie oczekuje, że długo tu wytrzyma.

Znalazła go na pokładzie. Stał zapatrzony w ciemne wody rzeki.

– Kiedy pierwszy przystanek? – zapytała.

– Jutro po południu. – Odwrócił się w jej stronę, oparł o reling i splótł ramiona na piersi. – Czy mogę cię o coś zapytać?

Pomna, czego się przed chwilą dowiedziała, przestraszyła się, że zapyta ją o ostatnie miejsce pracy... albo czy ma kogoś.

– Dlaczego wybrałaś Brazylię?

Odetchnęła z ulgą. To łatwe.

– Bo znam język. – Skrzywiła się. – Jako tako.

– No tak, ale nie o to mi chodziło. Jako kardiochirurg mogłaś wybierać spośród setek szpitali na całym świecie. Tutaj... to nie twoja specjalność, nie sądzisz?

Wzruszyła ramionami.

– Być może chciałam poszerzyć swoje horyzonty.

– Można to osiągnąć innymi sposobami.

Kiedy skontaktowała się z Tracy, nie miała wielkiego wyboru, ale wolała na razie o tym nie mówić.

– Owszem, ale czy to ważne?

Jego wzrok na moment zatrzymał się na jej wargach.

– Nie, zapytałem z ciekawości.

– A ty dlaczego tu jesteś? – Jeśli on ją o to zapytał, to i ona ma prawo to zrobić. Poza tym pozwoli jej to zmienić temat. Co więcej, miała cichą nadzieję, że dowie się czegoś o jego żonie.

– Już na studiach wiedziałem, że chcę to robić.

– Masz specjalizację?

– Nie, ale patrząc wstecz, myślę, że należało ją zrobić.

– Myślę, że tutaj nauczyłeś się więcej niż inni lekarze przez całe życie.

Przez jego twarz przebiegł ledwie dostrzegalny skurcz.

– Może nawet więcej, niżbym chciał.

Ogarnął ją smutek. Ma na myśli śmierć żony?

– Zatem jutro pierwszy postój?

– Tak. Musimy się zastanowić, jak cię przedstawić wieśniakom, gdyby zaczęli wypytywać.

– Nie rozumiem.

Wzruszył ramionami.

– Powiedzmy, że pewne plemiona są bardziej konserwatywne od innych.

– Uważają, że kobieta nie powinna być lekarzem?

– Niektórym wozom może się nie podobać, że podróżujemy razem. – Szacował ją wzrokiem. – Może przypadkiem w którejś walizce przywiozłaś męża?

Chwilę zastanawiała się, co powiedzieć.

– Niestety nie. Nigdy nie miałaś kobiet na statku?

– Nie w roli lekarza. – Wyprostował się. – Porozmawiamy o tym później, bo na pewno jesteś zmęczona.

– Trochę, ale czuję się dobrze. Masz dla mnie coś do roboty?

– Nie w tej chwili. Tiago i Nilson pilnują swoich codziennych zajęć jak oka w głowie. Jak ich w czymś wyręczysz, poczują się dotknięci. Coś wymyślę... O, mogłabyś się poopalać, trochę upodobnić się do tła.

Roześmiała się.

– Też wymyśliłeś, Tarzanie! W obecności trzech facetów? Nie ma mowy. Poza tym, jak widzisz, mam karnację wampira. Słońce to mój największy wróg. Nawet gdyby mnie opalało, w tym upale taka propozycja nie wydaje mi się atrakcyjna.

– W naszej... w sypialni jest wiatrak. Możesz coś poczytać, poleżeć albo się rozpakować.

– A ty czym się zajmiesz?

– Przysiadziemy z Nilsonem nad mapami nawigacyjnymi. – Spod koszuli wyciągnął dwa kluczyki na łańcuszku. Wypiął jeden i jej podał. – To jest klucz do gabinetu. Trzymaj go w bezpiecznym miejscu. Drzwi i szafki z lekami też się nim otwiera. Do Tiaga i Nilsona mam pełne zaufanie, ale

lepiej nikogo nie kusić. Tylko my dwoje mamy takie klucze.

Dotknęła jego dłoni opuszkami palców, ale czując ciepło ciała Matta na kluczu, lekko zadrżała. On tymczasem schował swój klucz na miejsce. Na myśl, że teraz klucz dotyka jego klatki piersiowej, cofnęła się.

– Masz jakiś łańcuszek, żeby zawiesić go na szyi? – Omiótł wzrokiem jej biust.

Wyobraził sobie klucz między jej piersiami? Miło by było, zważywszy na jej reakcję. Spojrzała mu w oczy, szukając potwierdzenia. Nic. Ani cienia zainteresowania. Co można pomyśleć o kobiecie, która właśnie zerwała zaręczyny, a już sprawdza każdego faceta? Prawdę mówiąc, jedyne w tej okolicy.

Zacisnęła palce tak, by paznokcie wpiły się jej w dłoń.

– Mam coś.

– W porządku.

Kiwnęła głową, a on odszedł swobodnym krokiem świadczącym o pewności siebie. Wpatrywała się w jego napięte mięśnie, gdy oparłszy dłonie na framudze, wśliznął się do korytarza. Gdy zniknął jej z oczu, oparła się o reling, przyciskając do piersi klucz do gabinetu.

Co ją opętało? Jak dotrą do pierwszej wioski, będzie zbyt zajęta pacjentami, by myśleć o czymkolwiek innym. Na to liczyła.

Skrzywiła się. Zapomniała go zapytać, gdzie on, Tiago i Nilson zatrzymują się między wyprawami. Chyba nie mieszkają na statku przez cały rok?

A jeśli tak? Czy potrafi spędzić na tej łodzi... w tej samej kabinie z Mattem... dwa lata?

O kurczę, chyba nie. Bo jeśli już teraz, kiedy instynkt każe jej mieć się na baczności, Matt tak bardzo ją pociąga, to co by się stało, gdyby tylko

trochę zmniejszyła czujność?

Ja nie uciekam. Tak mu powiedziała. Kłamczucha. Bo jeśli nie uda się jej zapanować nad swoim głupim libido, to to zrobi. Ucieknie.

TTLR

ROZDZIAŁ CZWARTY

Obudził się, bo coś go szturchnęło. Otworzył jedno oko i zobaczył parę znoszonych kłapek. Ciemna skóra, popękane pięty. Nie białe paluszki z paznokciami pomalowanymi blad różowym lakierem, które w środku nocy wypłoszyły go z hamaka. Uznał wtedy, że bezpieczniej będzie na pokładzie.

– Mateus, dlaczego tu śpisz?

Ach tak, pytanie, na które wolałby nie odpowiadać.

Wysunął głowę z moskitiery, w którą był owinięty jak całunem, i ujrzał Tiaga, który stał nad nim zaspany.

– Tu chłodniej – mruknął Matt.

– Tak? – prychnął Tiago. – Naprawdę? Na Amazonce nigdzie nie jest chłodniej.

Racja, ale lepiej tego wątku nie rozwijać.

– Jeszcze ciemno. Dlaczego wstałeś tak wcześnie?

– Usłyszałem hałas na pokładzie, więc chciałem się upewnić, czy wszystko w porządku.

– Nic się nie dzieje.

– Dlaczego nie przeniosłeś się do mnie?

Bo nie mógł się oprzeć subtelnemu wyzwaniu rzuconemu przez Stevie. Jeśli ona jest na tyle dorosła, że może nocować w tym samym pomieszczeniu co osobnik płci przeciwnej, to on postanowił, że też tak potrafi. Ale mu nie wyszło. Usiadł, pocierając dłonią twarz, by wymazać z pamięci obraz smukłej kostki i stopy, która zwisała z góry, wywołując sny całkiem innej treści. A do tego ten cholerny różowy lakier. Omal nie wypadł z hamaka, bo tak się spieszył, by powiększyć dystans między nimi.

– U was już i tak ciasno.

– A łóżko szpitalne?

– Jestem zdrowy.

Tiago ściągnął brwi.

– Wiem, że nie chcesz tam wpuszczać zarazków, ale nie możesz przez dwa tygodnie spać na gołych deskach. Pomyśl o plecach. Przecież widzę, że cię boją.

O tym Matt też nie chciał rozmawiać.

– Przeżyję.

– Ale jak cię znowu połamie, to będziesz musiał...

– Wracaj spać. Rano coś wymyślimy.

Tiago przytaknął niechętnie.

– To przynajmniej porządnie rozwieszę ci moskitierę, żeby cię nie udusiła. Owinąłeś się tak szczelnie, że komary i tak cię przez nią dostaną.

Był siatką tak okutany, że prawdopodobnie stanowiła całkiem niezłą barierę, ale wstał i razem z Tiagiem zaczepili ją między relingiem i jedną z wudek. Tiago miał rację, tak było lepiej. Pożyczyli sobie dobrej nocy, po czym Tiago zniknął w czeluściach statku. Wracając do wygodnego hamaka w swoim pomieszczeniu, musiał minąć kabinę, w której spała Stevie. Czy jej noga nadal jest na widoku? Wyluzuj. Dał nura pod siatkę i opadł na koc. Przywykł do spania na golasa, bez żadnych koców. Jakikolwiek przykrycie budziło w nim klaustrofobiczny lęk. Co ta Tracy sobie myśli?

Pewnie nic. To oczywiste.

Czy przejmowałby się tak bardzo, gdyby przyszło mu dzielić kabinę z Tracy? Nie, nie tylko dlatego, że Tracy jest siostrą Vickie, ale też i dlatego, że Tracy jest serdecznym przyjacielem. I żadne emocje nie przeszkadzałyby im w pracy. Inaczej sprawa się ma ze Stevie. Prychnął zirytowany. Kto

powiedział, że się jej podoba? Może to zainteresowanie jest jednostronne.

Nie tylko to go nurtowało. Musiał jeszcze wymyślić, co powiedzieć ludziom w wioskach, w których zacumują. Może nie będą pytać o Stevie, ale jeśli zapytają? Co wtedy? Żartem zapytał ją, czy aby w którejś z walizek nie przywiozła męża, tak byłoby zdecydowanie prościej. Albo gdyby wyjaśnił, że ożenił się ponownie.

Zamarł. Mógłby. Albo by udawał, że ma drugą żonę. Nikt nie musi wiedzieć, że to nie nowa żona, która, tak się składa, też jest lekarzem. Vickie była pielęgniarką, pływali razem i nikt nie miał im tego za złe.

Czy Stevie przystanie na taki numer? Mógłby jej powiedzieć, że albo się zgodzi, albo wraca do domu. Tak, bo nie przychodziło mu do głowy nic innego, co by gładko zamykało sprawę.

A on? Potrafiłby udawać, że jest jej mężem? Musiałby lepiej ją poznać, by ta historia wyglądała wiarygodnie.

Podłożył ręce pod głowę, usiłując zasnąć, żeby nie myśleć, z czym by się to wiązało. Matt Palermo, wdowiec w nieustającej żałobie, musiałby złamać narzuconą sobie żelazną zasadę dotyczącą kobiet. Nie zbliżaj się za bardzo, pod żadnym pozorem.

Tata kręcił się razem z nią, trzymając ją za rękę i za nogę, podczas gdy dwie pozostałe kończyny wirowały w powietrzu. Śmiała się i krzyczała na przemian, po czym zaczęła się miotać, gdy dotarło do niej, że to kołysanie to nie sen. Straciła równowagę...

Uczepiła się brzegów hamaka w ostatniej chwili, gdy ten się odwrócił. Wisiała teraz głową w dół, obejmując hamak nogami i wpijając palce w tkaninę, by nie spaść na hamak poniżej. O nie!

Odwróciła głowę, by spojrzeć na dół, i odetchnęła z ulgą. Pusty. Matt już wstał i już się ubrał. Dzięki Bogu nie był świadkiem jej upokarzającej

porażki. Gdyby jeszcze mogła...

– Nie sądziłem, że masz coś wspólnego z nietoperzami. Wprawdzie wczoraj napomknęłaś, że nie znosisz słońca...

Zesztywniała. Gdy odwróciła głowę jeszcze bardziej, przez siatkę moskitiery zobaczyła Matta. On wziął już prysznic, ona tymczasem wisi do góry nogami...

– Przydarzył mi się mały wypadek...

– Widzę.

– Zamiast się gapić, może byś mi pomógł?

– Podobasz mi się w tej pozycji.

– Przestań. – Jej rozpuszczone włosy niemal dotykały hamaka niżej. – Nie wygłupiaj się, zaczyna mi się kręcić w głowie. Nie wiem, czy by ci się spodobała na twoim hamaku kałuża tego, co mam w żołądku.

Poskutkowało. Błyskawicznie znalazł się pod siatką, po czym podłożył ręce pod jej barki i pośladki.

– Okej, już cię trzymam. Możesz się puścić.

– Na pewno?

– Wolisz zrobić to sama?

Podłoga wydawała się daleko. Nie, nie woli zrobić tego sama. Wyprostowała nogi, a gdy poczuła siłę jego ramion i uwierzyła, że nie spadnie prosto na podłogę, odważyła się puścić brzegi hamaka. Wylądowała w jego objęciach. Z twarzą niebezpiecznie blisko jego szyi.

Ten sam zapach, który poczuła wczoraj, mijając go? Tak, ale o wiele mocniejszy. Wbrew zdrowemu rozsądkowi zamknęła oczy i przysunęła twarz troszkę bliżej, by zadowolić zmysły.

– Lepiej?

Wstrzymała oddech.

– Słucham?

– Ciągłe kręci ci się w głowie? Wolałbym nie stawiać cię na podłodze, jeśli masz zamiar zemdleć.

– Nie, nie. Chyba mi lepiej – odparła drżącym głosem, jednocześnie zastanawiając się, czy aby jednak nie znalazła się w niebie.

Najwyraźniej nieświadomy jej zmieszania, spojrział na nią, nie wypuszczając z objęć.

– Widzę, że należałoby jeszcze raz obejrzeć wideo z instrukcją używania hamaka. Gdybym akurat leżał na dole, a ty byś na mnie spadła, mogłoby się zrobić nieprzyjemnie.

Wolne żarty. Zwłaszcza że gdy wisiała, T – shirt podjechał jej nie wiadomo jak wysoko. Przerazona spojrzała niżej: odsłaniał pół brzucha!

Zagadaj go, by nie zauważył.

– Kiedy starałam się o tę robotę, nikt słowem nie wspomniał o takim ryzyku – zachnęła się.

Uśmiechając się nieznacznie, postawił ją na ziemi. Poprawiła koszulkę.

– Wcale nie chciałam powiedzieć, że spadnięcie na ciebie może się łączyć z jakimś ryzykiem...

Oj, łączyłoby się. Na samą wzmiankę o takiej możliwości zabrakło jej tchu. Na szczęście zjawił się Tiago, co ją wybawiło z konieczności tłumaczenia, co miała na myśli.

– Nilson przygotował śniadanie – oznajmił po portugalsku, przestępując z nogi na nogę, jakby czymś zażenowany. Widział, jak Matt ją obejmuje? Czy może zna angielski na tyle, że zrozumiał, co mówili?

– *Obrigada* – powiedział Matt, cofając się o krok.

– Gdzie mam zanieść twój koc i moskitierę? – zapytał Tiago.

Stevie spojrzała na wątlą siatkę otaczającą oba hamaki. A gdyby ktoś chciał się tylko zdrzemnąć?

– Zawsze na dzień je chowacie? – Odciągnęła moskitierę na bok i podpięła sznurem, tak jak widziała to poprzedniego dnia.

– Nie – wykrztusił Matt, czerwieniąc się.

Tiago pokręcił głową.

– Nie, chodzi o tę z pokładu, gdzie Mateus spał.

– Ty... nie spałeś tutaj?

– Mateus powiedział, że mu tu za gorąco.

Uszy Matta płonęły.

– Mówiłem, że tam jest chłodniej – sprostował, wskazując palcem pokład. – Chodźmy już na śniadanie.

Gdy opuścił kabinę, zaczęła się zastanawiać, dlaczego utwierdzał ją w przekonaniu, że spał pod nią przez całą noc, mimo że tak nie było. Nawet napomknął, jak katastrofalnie mógłby się skończyć jej upadek na hamak niżej, gdyby na nim spał, cały czas wiedząc, że nie było takiej możliwości. W coś gra czy naprawdę nie zniósł duchoty, więc się przeniósł na pokład?

Ale zaniepokojenie Tiaga zdawało się wskazywać, że to nie zdarzało się często, że zazwyczaj Matt śpi w kabinie. Przez całą noc.

Ruszyła do łazienki, by się przebrać, umyć i pozbierać myśli. Na śniadanie poszła już opanowana.

Nałożyła jedzenie na talerz, który podał jej Tiago, po czym przysiadła się do Matta.

– Słuchaj, mogę spać na pokładzie, jak ci nie odpowiada spanie ze mną w tej samej kabinie.

– Już ci mówiłem, dlaczego się przeniosłem. Poza tym takie nocne wędrówki mogą mieć nieodpowiedni wpływ na Tiaga i Nilsona. – Wbił

wzrok w talerz. – Nie mówiąc o tym, że mogliby się natknąć na niekompletnie odzianą kobietę. Wolę, żebyś spała w kabinie.

Trudno było jej z tym polemizować, ale też zrobiło się jej głupio, że go wypłoszyła z jego własnego legowiska. Rozejrzała się po aneksie jadalnym.

– A może... rozwieszajmy na noc twój hamak tutaj, a rano się go zwinie?

Do rozmowy wtrącił się Tiago, który przysłuchiwał się tej wymianie zdań.

– Mateus, to dobry pomysł. Wkręcę mocne haki w ścianę i w środkową belkę... i jeszcze jeden w sufit na siatkę, bo ty zawsze każesz wszystkim spać pod moskitierą. – Zawahał się. – Ale ja już rozumiem dlaczego.

Matt przytaknął, przez chwilę spoglądając mu w oczy, po czym odezwał się po portugalsku:

– Dzięki, przyjacielu. – Teraz zwrócił się do Nilsona: – Kiedy dotrzemy do wioski?

– Przed kolacją.

– Okej. Musimy przysiąść nad mapami, żeby ustalić plan na dwa tygodnie. – Spojrzał na Stevie. – Znajdziesz sobie jakieś zajęcie? Musimy też porozmawiać... co powiemy w wiosce.

Zesztywniała. Co powiedzą w wiosce? Jak mogła o tym zapomnieć? Uśmiechnęła się z przymusem, nie bardzo wiedząc, o co mu chodzi.

– O mnie się nie martw, poradzę sobie. Umawiamy się tutaj, powiedzmy, za trzy godziny?

– Zgoda.

Trzy godziny. To wystarczy, by energię związaną z nerwami spożytkować na coś innego.

Otarła czoło ramieniem, nie wypuszczając z ręki kłębu stalowych wiórków. Lakier jachtowy okazał się znacznie bardziej wytrzymały niż lakier na podłodze w jej mieszkaniu w Nowym Jorku. Mimo grubej warstwy brudu był w świetnym stanie. Biorąc się za to, liczyła, że szorowanie mu nie zaszkodzi, a pokład będzie czyściutki. I tak też się działo.

A co z nadmiarem niezdrowej energii?

Zniknął, spłukany strumieniami potu.

Kłęcząc na ręczniku, by chronić kolana przed rozgrzanym pokładem, zaczęła szorować półmetrowy kawałek deski. Przerwała na chwilę, by poprawić górę bikini, jednocześnie podziwiając oczyszczony fragment. Zajmie jej to wiele godzin, ale spod warstwy brudu wyjrzy piękny połyskujący mahoń.

Taki jak włosy mężczyzny, z którym ma pracować. Zupełnie inne niż blond fryzura i jasna karnacja Michaela. Ich jedyna wspólna cecha to niebieskie oczy. Ale oczy Michaela były ciemniejsze, a spojrzenie bystre i zdecydowane. Plamki okrucieństwa ukryte tuż pod powierzchnią dostrzegła zdecydowanie za późno.

Jednym nierozważnym ruchem przekreślił ich wspólną przyszłość, a potem, kiedy mu to wyrzucała, wściekły przekreślił również jej marzenia. Wystarczyło kilka telefonów do paru liczących się członków rady lekarskiej, by ją zniszczyć.

Otrząsnęła się. Oczy Michaela to nie to, co podoba się jej najbardziej. Już nie. Za to spojrzenie Matta jest... Szukała właściwego określenia. Udęczone?

Szorowała pokład ze zdwojoną siłą. Skąd przyszło jej do głowy porównywać tych facetów?

Gdy kropla potu spłynęła jej do oka, potrząsnęła głową, by odgonić od

siebie niemiłe myśli i złagodzić pieczenie. Ostatecznie otarła czoło ramieniem, żałując, że nie ma ręcznika do ocierania twarzy. W tym tempie duże opakowanie emulsji Ochronnej skończy się po jednym dniu. Zerknęła za siebie.

Metr pokładu zrobiony, ale zostało jeszcze ze trzydzieści. Jęknęła, poprawiła daszek bejsbolówki, dziękując Bogu za ten kawałek cienia, po czym wróciła do pracy. Trudno dbać o czystość statku, mając na głowie pacjentów, pomyślała. Taki pływający szpital na pewno ma ograniczony budżet, ale ktoś powinien chociaż spróbować coś zrobić dla tej biednej krypy, bo wygląda na bardzo zszarganą życiem.

Stevie, to nie jest istota żyjąca, to tylko statek

Być może Michael słusznie wyśmiał artykuł o *Projeto Vida*. Być może pomysł udania się do Amazonii był szalony, ale nie mogła zostać w Nowym Jorku i patrzeć, jak ktoś szarga jej opinię...

– Nie musisz tego robić.

Wiórki wypadły jej z ręki. Rzuciła się za nimi, padając plackiem na pokład. Obejrzawszy się, zobaczyła Matta. W szortach koloru khaki, szarej koszuli i szarych klapkach na opalonych stopach. Usiadła, modląc się w duchu, by góra od bikini zasłaniała to, co trzeba.

– Umówiliśmy się za trzy godziny – warknęła.

– Ktoś na ciebie doniósł, więc przyszedłem popatrzeć.

– Uniósł brwi. – To tak wygląda kardiochirurg, kiedy szoruje pokład?

Wstała speszona swoim wyglądem, zwłaszcza że on prezentował się wyjątkowo schludnie.

– Najwyraźniej wymaga to pewnych umiejętności, których tutaj nikt nie posiada – odcięła się.

– Oj, nieładnie. – Pogroził jej palcem. Podniósł do ust szklanę z

wodą i kostkami lodu. – Bardzo nieładnie, zwłaszcza że przyniosłem ci coś zimnego do picia.

Oblizwała wargi, zapominając o Michaelu.

– Jesteś złośliwy.

– A ty już jesteś różowa. Myślałem, że wampiry boją się słońca. – Jego wzrok zsunął się na jej brzuch.

Tym razem odetchnęła z ulgą, że jej kolor jest spowodowany gorącem, a nie wstydem, że stoi przed nim niekompletnie ubrana. Liczyła, że zanim się spotkają, zdąży się ubrać. Włożyłaby szorty, a nie paradowała przed nim w bikini.

– Ja... wampiry naprawdę boją się słońca. Wysmarowałam się filtrem od stóp do głów.

Wręczył jej szklanekę, po czym sięgnął po butelkę z filtrem, by przeczytać etykietkę.

– Musisz mieć coś silniejszego, bo znajdujemy się blisko równika.

Upiła kilka łyków zimnej wody, ale nie mogła się powstrzymać, by nie przytknąć szklanki do policzka.

– Zawsze używam tego, ale pewnie masz rację. Nie przyszło mi do głowy, że tu jest aż tak gorąco.

– Jak już wspomniałem, wszystkiego nie da się wyczytać z książek – Po raz kolejny omiół spojrzeniem jej brzuch. – Weź prysznic i się przebierz, a potem porozmawiamy, co trzeba będzie zrobić, jak dopłyniemy do wioski. Tiago hoduje na rufie aloes, niezastąpiony na oparzenia. Poproszę, żeby ci dał kawałek.

– Dzięki.

Gdy podszedł bliżej do wyszorowanego miejsca, jego twarz złagodniała.

- Przyznam, że zapomniałem, jakie ładne są te deski. Już dawno nikt...
- Przygryzł wargę. – Ale nie oczekuję od ciebie pracy fizycznej.
- Chcę być przydatna.
- Nie martw się, jeszcze będziesz przydatna, i to bardzo. Jak wyjdziemy na brzeg.

TTLR

ROZDZIAŁ PIĄTY

– To całkiem rozsądne.

Rozsądne? Tylko tyle ma do powiedzenia? Przecież to szalony pomysł. Zamknął oczy i opadł na leżak. Rozważył wszystkie możliwości, by ostatecznie poddać się temu, co nieuchronne: będą udawać, że są małżeństwem. Ale tylko wtedy, gdy ktoś zapyta. I tylko dopóki nie znajdzie kogoś na jej miejsce.

Wydusił to z siebie, jak tylko przyszła, licząc, że zażąda, by natychmiast odwiózł ją na lotnisko.

– Na pewno nie masz nic przeciwko temu?

– Mamy inne wyjście? – Siedziała w rybackach khaki i pomarańczowym T – shircie, popijając wodę, pozornie mniej skrepowana sytuacją niż on...

– Nic innego nie przyszło mi do głowy.

– A gdybym mówiła, że jestem mężatką, żoną innego mężczyzny?

– Nie wszystkim by się to podobało. Nie mogliby zrozumieć, co tu robisz bez męża.

– Hm... Innymi słowy, podejrzewaliby, że jestem wiarołomną żoną?

– Tak.

– To chyba nie znaczy, że do wszystkich wiosek musimy rozesłać zawiadomienie o ślubie. – Westchnęła. – Sam powiedziałaś, że nie będziemy wdawać się w szczegóły, a powiemy, że jesteśmy małżeństwem tylko wtedy, gdy nas o to ktoś zapyta.

– Tak, ale...

– Słuchaj, wiem, że nie chciałaś kobiety w zespole. Wystarczająco

jasno dałeś temu wyraz. Mimo to jesteś na mnie skazany. I ja to rozumiem.
– Zapatrzyła się w dal. – Zobaczymy, jak będzie w tej pierwszej wiosce. Może nikogo to nie zainteresuje. A jak ktoś cię o to zapyta, mów, co chcesz, a ja się dostosuję.

Poczuł się jak skończony kretyn. Odetchnął głębiej, po czym dotknął jej ramienia, by zwrócić na siebie jej uwagę.

– To nie twoja wina – oznajmił. – Ty myślałaś, że będziesz płynąć z Tracy, a ja myślałem, że będę miał do pomocy faceta. Wiesz co? Większość mężczyzn, którzy tu się stawili, dała nogę jeszcze przed końcem dwutygodniowego okresu próbnego. – Uśmiechnął się, starając się powiedzieć coś miłego. – Bądź tą jedyną osobą, która wytrwa do końca, dobra?

Wzruszona niemal do łez pokiwała głową.

– Nigdzie się nie wybieram.

Pierwsza wioska okazała się kompletnym zaskoczeniem. Gdy wysiadali z łódki, która dowiozła ich do brzegu, Matt podał jej rękę. Stevie nie mogła się nacieszyć chłodną wodą kojącą stopy po skwarowym dniu. Matt mocniej ścisnął jej dłoń.

– Jesteś gotowa?

Niezupełnie, ale nie była gotowa na nic, co ją tu do tej pory spotkało.

– Niedługo się dowiemy.

– Zaczekaj na brzegu, a ja wrócę do łódki po rzeczy. – Uśmiechnął się, jakby wyczuwając jej zdenerwowanie. – Zaraz do ciebie wrócę.

Już na stałym lądzie włożyła z powrotem klapki i opuściła nogawki spodni, jednocześnie rozglądając się. Niesamowite. Zamiast chaotycznie rozrzuconych chat domki z gliny ustawione w koło, z wyjściem na centralny plac. Z jedyne go paleniska unosiło się pasmo dymu. Nie było tam nikogo,

ale ziemia wokół domostw sprawiała wrażenie starannie zagrabionej.

Odetchnęła głęboko, wdychając lekko stęchłą woń rzeki zmieszana z zapachem lasu deszczowego.

Panowała absolutna cisza i spokój. Zupełnie inaczej niż ostatnio w jej życiu. Miała uczucie, że nawet upał zelżał, przygaszony koronami drzew. Uśmiechnęła się, uradowana, że tu się znalazła.

Odwróciła się, by zobaczyć, czy Matt wraca, akurat w chwili, gdy powietrze przeszył krzyk. Zwracając się w jego stronę, przygotowana na widok krwi, ujrzała kilkuletnią dziewczynkę, która pędziła w ich kierunku co sił w krótkich nóżkach.

Ten przenikliwy krzyk wywołał reakcję łańcuchową, bo ze wszystkich zakątków wioski odpowiedziało jej kilkanaście głosów, a kilka sekund później ruszyła ku nim cała chmara dzieciaków w różnym wieku. Stevie przygotowała się na szturm, ale ją zignorowały, otaczając zwartym kręgiem Matta. O co chodzi?!

Postawił na ziemi lekarską torbę, by zsunąć z ramion plecak. Z szelmowskim uśmiechem zaczął w nim grzebać, po czym wyciągnął garść różnokolorowych... dżdżownic. Żelki w kształcie dżdżownic!

Drżąc lekko, zwiślały mu spomiędzy palców. Kilkoro dzieci aż zapiszczało z zachwytu, za to Stevie nie mogła uwierzyć, że oto ma przed sobą człowieka, który po nader chłodnym powitaniu na lotnisku dał jej do zrozumienia, że powinna wracać. Teraz w ich stronę ruszyło kilkoro dorosłych, wcale niezaniepokojonych harmidrem wywołanym przez Matta.

– Potrzyj to – powiedział, wręczając jej wijący się pęk kolorowych robaków. Skrzywiła się z obrzydzeniem, ale to go nie powstrzymało.

Zatkało ją. To nie są prawdziwe robaki. To są żelki. Mimo że starała się to sobie wmówić, była gotowa przysiąc, że kilka z nich się poruszyło, by

się wyśliznąć. Sporo ją kosztowało, by nie rozewrzeć palców.

– Podobno lubisz wyzwania? – zapytał Matt swobodnym tonem. – Zobaczymy, jak sobie z tym poradzisz.

Wyciągnął z pęka zieloną dżdżownicę, pomachał nią, trzymając za jeden koniec, po czym szeroko otworzył usta. Wrzucił ją tam, pogryzł i przełknął. Pochrzakując z zadowoleniem, pogładził się po brzuchu. Za to Stevie poczuła, że robi się zielona jak ten robak. Dzieci najwyraźniej już znały tę sztuczkę, bo wybuchnęły radosnym śmiechem.

Matt podniósł do góry palec.

– *Espera ai. A doutora vai comer a próxima minhoca, nao é?*

O nie, wykluczone. Nie przełknie robaka, nieważne że żelkowy. Ale gdy dwoje dzieci zaczęło miarowo tupać, w ich ślady poszła reszta. Lewa, lewa, prawa, lewa, lewa, prawa. Uśmiechały się od ucha do ucha i tupały. Stevie zrozumiała, że się nie wykręci.

O, on jej za to słono zapłaci, choć jeszcze nie wiedziała jak.

Oddała mu dżdżownicę, wybierając najmniejszą, ale i tak przeraźliwie długą. Zamknąwszy oczy, ugryzła ją w połowie, ale okazała się twardsza, niż myślała. Nie mogła jej przegryźć.

Skończyło się na tym, że ją wciągnęła jak kawałek spaghetti. Jęknęła. Szczerze, nie udając jak Matt, i nie z rozkoszy, ale kwaskowaty smak pomógł jej wyobrazić sobie, że to sympatyczny żelkowy miś; za takimi przepadała w dzieciństwie.

Gdy spojrzała na niego, szykując ostrą ripostę, odebrało jej mowę. Matt wpatrywał się w jej wargi. Nie interesowała go reakcja dzieciarni. O co chodzi?! Coś się jej przylepiło? Oblizując wargi, natrafiła na kawałek żelka. Aha. Matt odkaslnął, odwrócił wzrok, po czym odezwał się do dzieci.

– No... kto następny?

Podniósł się las rąk. Ale jedno dziecko, dziewczynka, stało z boku z opuszczoną głową i rękami splecionymi z tyłu. Stevie wzrokiem wskazała Mattowi na nią.

– Miesiąc temu jej matka zmarła na malarię – wyjaśnił szeptem.

– Kto się nią teraz opiekuje? – zapytała przejęta.

– Pewnie wszyscy. Dzielą się obowiązkami, zwłaszcza że w obrębie plemienia wszyscy są spokrewnieni. – Chmara dzieci napierała. – Pomożesz mi?

– Zaczynaj, a ja zaraz dołączę. – Wyjęła mu z ręki jedyną różową dżdżownicę, po czym podeszła do dziewczynki. – Zobacz, przyniosłam ci najładniejszą. Masz na nią ochotę?

Dziecko podniosło na nią ciemne oczy.

– Ale tobie nie smakowała.

– Bardzo, mi smakowała. Ja nie lubię tylko prawdziwych *minhocas*. – Otrząsnęła się teatralnie.

Dziewczynka nieśmiało się uśmiechnęła.

– Jadłaś prawdziwe robale?

– Nie... i chyba bym nie chciała.

– Ja też bym nie chciała.

– Ma... pan Matt już kiedyś wam takie przywiózł?

Dziewczynka pokręciła głową.

– Poprzednio przywiózł takie małe misie.

Stevie się roześmiała.

– Przepadam za misiami! Te robale smakują tak samo, chociaż wyglądają mniej apetycznie. – Podsunęła bliżej różową dżdżownicę. – Spróbujesz?

Dziewczynka wzruszyła ramionami, jakby nie była zainteresowana, ale

jej wzrok mówił co innego.

– Mam na imię Stevie, a ty?

– Madelena.

– Bardzo ładne imię. – Zerknęła na Matta w otoczeniu rozradowanej gromadki. Zdumiała się, słysząc jego śmiech. On kocha to, co robi. – A jak przyniosę drugą dżdżownicę, to zjesz ją razem ze mną? Zrobimy tak? – zwróciła się do dziewczynki.

Mała przytaknęła, mimo to zapytała:

– Nie boisz się?

Stevie nagle pojęła, że za tym pytaniem kryje się strach, jaki jej trudno sobie wyobrazić. Choćby utrata ukochanej osoby.

– Nie, nie boję się słodkiego robala. – Odgarnęła kosmyk włosów z twarzy dziewczynki. – Ale boję się wielu innych rzeczy. Idę po naszego robala i zaraz do ciebie wrócę.

Stanęła na obrzeżu kręgu otaczającego Matta.

– Dasz mi jeszcze jedną dżdżownicę?

W pierwszej chwili wydawało się jej, że nie przekrzyczy rozentuzjasmowanej gromadki, ale podszedł do niej, by sama wybrała dżdżownicę.

– Dziękuję – powiedział.

– Za co?

– Za serce.

Przez chwilę patrzyła na niego oniemiała, ale już chwilę później wręczyła dziewczynce różowego robala, dla siebie *zatrzymując żółtego*.

– Gotowa?

– Tak. – Madelena z uśmiechem spoglądała na dyndającą w powietrzu dżdżownicę.

Patrząc sobie w oczy, obydwie pogryzły robale, po czym wybuchnęły śmiechem.

– Smaczna?

– Tak. – Madelena tęsknie spojrzała w stronę Matta.

– Idź do niego. Na pewno da ci drugą.

Dziewczynka szybko dołączyła do gromadki rówieśników, a wówczas Matt podszedł do niej i podał jej nowego robala. Nim wrócił do rozdawania dzieciom słodyczy, zerknął na Stevie.

Gdy dżdżownice zostały już pożarte i dzieci się rozbiegły, pomogła mu wyciągnąć na brzeg skrzynkę po owocach pełną pakietów dla dorosłych, którzy nadal stali na uboczu, jakby już znali kolejność wydarzeń.

– A to co? – zdziwiła się.

– Podstawowy zestaw pierwszej pomocy, tabletki do oczyszczania wody plus kondomy.

– Kondomy? Naprawdę? Oni ich używają?

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Tłumaczymy *im*, jak i po co się ich używa, ale reszta zależy już od nich samych. Oprócz chorób przenoszonych drogą płciową w sąsiednich wioskach zdarzają się epidemie zapalenia wątroby Labrea. Kondomy to jedna z metod profilaktyki.

– Pierwsze słyszę o takim zapaleniu wątroby.

– Upraszczając, jest to współzakażenie wirusami zapalenia wątroby typu B i D. Bardzo wysoka śmiertelność. Staramy się szczepić noworodki przeciwko wirusowi D, ale ponieważ nie ma nas przy porodzie, działamy na chybił trafił. – Uśmiechnął się, zapraszając dorosłych gestem. – To, że kondomy są pakowane z zestawem pierwszej pomocy, zdejmuje z nich piętno wstydu. W ten sposób antykoncepcja staje się częścią zdrowego stylu

życia.

Rozdając pakiety, z każdym zamieniał kilka słów, pytając o rodzinę i samopoczucie. Stevie obserwowała go z podziwem. Jak on to robi, że kojarzy imiona i twarze, nie wspominając o przebytych chorobach.

Młoda kobieta odebrała paczuszkę z wyraźnym wahaniem. Matt zadał jej parę pytań, po czym uklęknął, by obejrzeć nabrzmiałe miejsca na jej stopie.

– Stevie, dokończ rozdawanie, bo ja muszę się tym zająć – poprosił, sięgając po rękawice chirurgiczne.

– Nie ma sprawy. Co jej jest?

– Ma larwy gza.

– Och!

– Przecież ty się nie boisz robali.

– Te żelkowe zaczynają mi się podobać.

Gdy rozdała prawie wszystkie pakiety, a dorośli się rozeszli, podeszła do Matta, który gawędził z kobietą jak ze starą znajomą.

– Ile pakietów zostało?

– Około dziesięciu.

– Bardzo dobrze. Z każdą wizytą mamy więcej chętnych. Zanim dopłyniemy do ostatniej wioski, może nam ich zabraknąć, ale to nie problem. Zawrócimy do Coari po więcej.

Stevie przysiadła obok nich.

– *Tudo bem?* – zapytała. – Jak stopa?

– Niedługo będzie jak nowa.

Na trzech zaczerwienionych i nabrzmiałych pręgach na stopie kobiety zauważyła bezbarwną maź.

– Co nałożyłeś?

– Wazelinę, żeby odciąć larwom dopływ powietrza. Mam nadzieję, że się uduszą. Jak się nam poszczęści, wysuną głowę, żeby odetchnąć, a my je wtedy wyciągniemy pęsetą. A jak się nie pokażą, poczekamy do rana z nadzieją, że zdechną.

– Nie można znieczulić tego miejsca, żeby je usunąć chirurgicznie? Byłoby szybciej i skuteczniej.

– Oto prawdziwy chirurg! – Roześmiał się. – W tym przypadku szybciej nie znaczy lepiej. Zostawilibyśmy ją z trzema nacięciami i szwami, a to groziłoby infekcją. Poza tym nie wiadomo, czy będziemy tu za tydzień, żeby zdjąć szwy.

No tak, racja.

– Zatem czekamy.

– Oczywiście. Ale jestem przekonany, że w międzyczasie będziemy mieli innych pacjentów.

Jego słowa się sprawdziły. Do zmierzchu udzielili pomocy medycznej co najmniej dwudziestu osobom. Przez ten czas kobieta z larwami czekała, aż sprawdzi się kuracja wazelinowa. Stevie ledwie trzymała się na nogach ze zmęczenia. Tak, Tracy nie przesadzała, mówiąc, że na statku potrzebny jest drugi lekarz.

Z nastaniem nocy Matt włączył lampę akumulatorową, co w połączeniu z płomieniami kilkunastu palenisk, na których przygotowywano strawę, rozproszyło tropikalne ciemności. Gdyby nie granatowe niebo, można by odnieść wrażenie, że jest dzień. Oraz gdyby nie piasek pod powiekami.

– Chcesz już wracać na statek? – zapytał. – Podjąłbym jeszcze jedną próbę wyciągnięcia tych paskud.

– Pomogę ci, tylko mi powiedz, co mam robić.

– Jesteś pewna? Marnie wyglądasz.

– Dzięki.

– Nie to miałem na myśli. Jest już późno, a ty na pewno jesteś zmęczona.

– Nie bardziej niż ty. Jestem tu, żeby ci pomóc.

– Okej. – Wyjął pęsetę ze sterylnej opakowania, po czym oparł sobie na kolanie stopę kobiety. – Gotowa?

Kobieta kiwnęła głową.

– Stevie, masz lekko wyciskać te guzki, a ja się postaram larwę chwycić i wyciągnąć. Niektórzy nowocześni lekarze używają do tego pompki do usuwania jadu, ale ja uważam, że ten sposób jest lepszy.

Stevie wzięła głęboki wdech.

– Jestem gotowa.

Usuwanie larw odbyło się bezproblemowo, mimo że Stevie żołądek kilka razy podszedł do gardła. Za to ich pacjentka siedziała niewzruszona, z zainteresowaniem przyglądając się operacji.

– No, poszło jak z płotka – stwierdził Matt.

Jak z płotka? Jak z płotka?!

Zaśmiał się cicho, po czym zdezynfekował ranki i przykazał kobiecie dbać o higienę, dopóki się nie zagoją.

Na pożegnanie kobieta ujęła obie dłonie Stevie i delikatnie pocałowała ją w policzek.

– Dziękuję za to, co zrobiłaś – powiedziała. – Madelena to moja siostrzenica. Ona jest bardzo smutna. Widziałam, co dla niej zrobiłaś. Serce mi rosło, jak zobaczyłam, że się uśmiecha.

Stevie chciała coś powiedzieć, ale słowa uwięzły jej w gardle, więc tylko odwzajemniła uścisk, a potem długo patrzyła za odchodzącą.

– No, na dzisiaj wystarczy. – Głos Matta przywołał ją do rzeczywistości.

– Chyba tak. To był bardzo długi dzień. – Podała mu rękę, by mu pomóc wstać ze stołka. Zawahał się, ale nie odmówił. Już stojąc, lekko uścisnął jej dłoń.

– Spisałaś się na medal.

– Przepraszam za to, że zzieleniałam, ale nie miałam pojęcia, że te larwy są tak obrzydliwe.

– Nie mam na myśli larw.

– A co? Niewiele zrobiłam.

– Zrobiłaś bardzo dużo. Pozwoliłaś im się dotknąć.

Zdziwiona wzruszyła ramionami.

– Ty też.

– Nie. – Powiódł palcem po jej dłoni, po czym położył rękę na sercu.

– Pozwoliłaś się im dotknąć tutaj.

Poruszyła nie tylko mieszkańców wioski. Przez kolejne dwa dni Matt unikał kontaktu fizycznego z nią, nawet przypadkowego. Mimo że pochwalił ją za to, że otworzyła serce na mieszkańców wioski, kontakt z jej dłonią omal nie doprowadził do tego, że i on by się otworzył. A do tego nie mógł dopuścić.

Przystosowała się do warunków wyjątkowo szybko, ale nie wolno zapominać, że w dalszym ciągu jest na etapie „turystycznym”, w trakcie miodowego miesiąca, kiedy wszystko w Brazylii jest nowe i fascynujące. Szybko jej to spowszednieje, a ona wejdzie w stadium szoku kulturowego. W miejsce fascynacji pojawi się irytacja, a ta z kolei przemieni się w coś gorszego.

Codzienna harówka wykończyła niejednego lekarza. Każdy z nich

wchodził na pokład pełen nadziei i dobrej woli, a odchodził, kipiąc frustracją i zniechęceniem. Matt był pewien, że ze Stevie będzie tak samo. Zwieje z Amazonii co sił w nogach.

Jeśli tak się stanie, wymusi na Tracy, by trzymała się umowy, którą zawarli. Tylko mężczyźni.

Widok Stevie w białym topie utwierdził go w tym postanowieniu. Poza tym Stevie nie daje mu spać po nocach. A jak już zaśnie, to śni mu się, że...

Nic dziwnego, że jest skonany. Przymknął oczy, starając się nie widzieć, jak podniosła się z pokładu w czapce bejsbolowej, z umazanym brudem brzuchem. Każdy pieg na jej skórze odcisnął się w jego mózgu na zawsze. Chciał wziąć od niej te stalowe wióry i...

– O kurczę! – Jej głos podziałał na niego jak kubeł zimnej wody. – Ty to zrobiłeś?!

Spojrzał na świeżo wyszorowany pokład.

– Głównie Nilson, ja tylko dokończyłem.

– Kiedy? Jak szłam spać, pokład tak nie wyglądał.

Nie, nie przyzna się, że to znowu przez nią.

– Tiago i Nilson chcieli ci zrobić niespodziankę.

– I się im udało. Pięknie. – Uśmiechnęła się.

Tak, zapuszczony pokład teraz lśnił. Zrobiło mu się wstyd. Jakby mścił się na pokładzie statku za to, co stało się z Vickie. A może za to, co się stało z jego życiem? Bo po jej śmierci po prostu mu się odechciało.

Ale dlaczego teraz? Bo ma wyrzuty sumienia, że Stevie wzięła to na siebie? A może to coś więcej?

Przykucnąwszy, Stevie pociągnęła dłonią po wypucowanym drewnie.

– Skąd miałeś воск? W magazynku go nie było.

– To jest gotowany olej lniany. Stał tu od dawna, nawet nie byłem

pewny, czy jeszcze się nada, ale Nilson spróbował na małym kawałku i wyszło super.

Spoglądając na niego, przygryzła wargę.

– To dla mnie... bardzo ważne, że to zrobiliście. Muszę chłopakom podziękować. – Podniosła się. – Oj, znalazłam w kuchni cytryny i zrobiłam lemoniadę. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

– Jasne, że nie mam nic przeciwko temu. Jedzenie jest wspólne. – Kątem oka zobaczył na stoliku między dwoma leżakami tacę z dwoma szklankami.

Jak to się stało, że nie usłyszał, jak przyszła? Bo bardzo starał się nie wyobrażać sobie, że ją rozbiera. Zerknął na nią. Na szczęście miała na sobie T – shirt i spodnie do pół łydki. Była czystiotka i pachniała mydłem. Nic tylko ją całować. Chyba postradał zmysły! Tak, bez wątpienia. Dopadła go gorączka rzeczna. Otarł z potu czoło i kark ściereczką.

– Chytry wynalazek – zauważyła, wskazując na ściereczkę. – Wycierałam pot ręką, a potem byłam cała umazana brudem.

O tak. Dobrze to pamiętał. I marzył, by ją dostać w swoje brudne ręce.

– Pij, póki zimne. – Podała mu szklankę.

– Już nie pamiętam, kiedy ostatni raz piłem lemoniadę.

– Westchnął, siadając na leżaku.

Prawdopodobnie jeszcze z Vickie, dawno temu. Przeraził się, nie mogąc sobie przypomnieć ich ostatniej rozmowy, kiedy jego życie jeszcze wyglądało normalnie. Nie chciał sobie przypominać, jak spieszyli się do najbliższego miasta, by na czas dotrzeć do szpitala.

Czyjeś zimne palce dotknęły jego ręki.

– Matt, co ci jest?

Nerwowo cofnął dłoń.

– Nic. Napawam się ciszą.

Raczej cierpię w milczeniu.

Nagle zdał sobie sprawę, że Stevie mogła poczuć się dotknięta jego zdawkową odpowiedzią.

– Stevie, nie miałem na myśli, że za dużo gadasz. Po prostu mam teraz mnóstwo na głowie.

Niedomówienie miesiąca.

– Nie przejmuj się. Przyniosłam ci lemoniadę, ale też chciałam zapytać, kiedy dopłyniemy do osady. – Odstawiła szklanę. – Nie będę ci przeszkadzać.

Poczuła się urażona?

– Nie odchodź. Mamy jeszcze kilka godzin, ale jak chcesz robić co innego...

Przyglądała mu się przez dłuższą chwilę, aż jego rysy złagodniały, a wargi złożyły do uśmiechu.

– Na pewno ci nie przeszkadzam?

– Na pewno. Miło jest z kimś podziwiać uroki przyrody.

– Uniósł szklanę. – I dzięki za lemoniadę.

– Nie ma sprawy. Jak tu pięknie...

– Czasami. – Dokoła dżungla tętniła życiem. Może i jest pięknie, ale w rzeczywistości... – Amazonka bywa okrutna, bezwzględna.

– Pewnie tak. – Milczała przez chwilę. – Matt, ja naprawdę chcę ci pomagać. Daj mi trochę czasu, żebym mogła dowieść, że potrafię.

– A jak nie potrafisz?

– Gdyby tak miało się okazać, to pierwsza się do tego przyznam.

– Tak?

– Oczywiście. – Gdy nagle odwróciła się w lewo, on instynktownie

odwrócił się w prawo, tak że znalazł się blisko niej. Gdyby nie stolik, zderzyliby się.

Cofnij się. Natychmiast. Ale jego ciało odmówiło posłuszeństwa i ani drgnęło.

– Matt... muszę ci coś powiedzieć.

Musiał przechylić głowę, by ją słyszeć.

– Okej.

– Chciałam ci powiedzieć, że wiem o...

W wejściu pojawił się Tiago. Niepokój *malujący się* na jego twarzy natychmiast zgasił pogodną atmosferę.

– Co się stało? – Matt wstał.

Tiago splótł dłonie, otworzył usta, po czym je zamknął.

– Dzwoni Tracy – wykrztusił w końcu. – W jednej wiosce wybuchła epidemia... – Matt przeczuł, co Tiago ma do zakomunikowania. – Mateus, tam jest denga.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

– W której wiosce? – Matt pochylał się nad mikrofonem, drugą ręką trzymając się koła sterowego. Nie prowadził statku, bo Nilson zgasił silnik, ale musiał się czegoś przytrzymać. Jego towarzysze patrzyli na niego z przerażeniem. Tiago nawet dwukrotnie się przeżegnał, gdy Matt dopadł mikrofonu.

– Tupari. – Głos Tracy przedarł się przez trzaski.

Matt zaklął pod nosem.

– To półtora dnia drogi stąd.

– Jak bardzo to poważne? – zapytała Stevie, ale ją uciszył, podnosząc do góry dłonie.

Odpowiedź Tracy zniekształcały trzaski i piski.

– Wiem. Zanim. „, dopłyniecie, reszta będzie... na ryzyko.

– Zdaję sobie z tego sprawę – wycedził, czując narastające napięcie.

Wiedział, że prędzej czy później będzie zmuszony ponownie zetknąć się z epidemią dengi. Ale rozpoznanie swoich lęków a stawienie im czoła to dwie różne sprawy.

– Chcesz... tym razem przyjechała?

Matt zerknął na Stevie. Jej obecność sprawiała, że i bez tego sytuacja stała się nie do zniesienia.

– Nie. Nawet gdybyś dostała się na lot do Sao Paulo, to nie mamy czasu, żeby po ciebie wracać do Coari. – Zawahał się. – Szukasz dalej?

– Źle cię słyszę... powtórz... co dalej?

– Nieważne.

– Matt, zlećcie się środkiem odstrasającym, zanim tam dopłyniecie.

Jak znowu dostaniesz gorączki... będzie z... żadnego pożytku...

Mimo zakłóceń dobrze wiedział, do czego ta aluzja. Zachorowanie na jeden typ wirusa wystarcza, by organizm się na niego uodpornił, ale są jeszcze trzy inne typy. Zwiesił głowę. Tracy nie wspomniała, co spotkało Vickie. Nie musiała. On i jego żona byli młodzi, naiwni i głupio przekonani o swojej nieśmiertelności. Jakże się zawiedli...

– Będę uważał.

– Bardzo cię o to proszę. Matt... daj znać, jak tam dotrzecie.

– Jasne. *Over*. – Odwiesił mikrofon na miejsce. Robił to długo, by uwolnić myśli od koszmaru przeszłości. Od wspomnienia wyścigu z czasem do szpitala, by ostatecznie się dowiedzieć, że stawili się za późno. Bo organizm jego żony już się poddał, krwawiąc ze wszystkich organów. A ich dziecko...

– Co tam się dzieje? – dopytywała się Stevie, pomagając mu wrócić do terażniejszości.

– W jednej z wiosek wybuchła epidemia dengi.

– Tyle usłyszałam.

– Roznoszą ją komary, więc przydadzą się nam twoje moskitiery.

– Wystarczy sto pięćdziesiąt?

– Musi. – Nagle zdał sobie sprawę, że słuchają ich Tiago i Nilson, mimo że rozmawiali po angielsku. Popatrzył na Stevie. Za późno, by odwozić ją do Coari. Poza tym zaprotestuje. Pozostaje mu jedynie chronić ją przed zakażeniem.

– Chciałaś pokazać, że nadajesz się do tej pracy, to właśnie dostałaś szansę.

– Jestem gotowa. – Wysoko uniosła głowę.

– Cieszę się, ale nie zamierzam tolerować nastawiania się na

niepotrzebne ryzyko.

– Rozumiem. Matt... przerabiałam gorączkę krwotoczną na studiach, ale było to jakiś czas temu. Ty się z nią zetknąłeś bezpośrednio, poduczysz mnie?

Fantastycznie.

To nie jej wina, pomyślał wściekły. Kardiochirurg nie musi się znać na chorobach tropikalnych.

– Mam cały rozdział na ten temat. Musisz go czym prędzej przeczytać.

– Podręcznik Mansona?

– Znasz go?

– Zaczęłam czytać, ale nie wzięłam ze sobą, a do rozdziału poświęconego dendze jeszcze nie doszłam.

– Jak słyszałaś, przed nami półtora dnia podróży, więc zdążysz. Mam też karty pacjentów.

– Są ofiary śmiertelne?

– Na razie tylko jedno dziecko, a kilka osób choruje.

– To straszne.

– Pamiętasz, co powiedziałem na lotnisku o segregacji na polu walki?

– Gdy przytaknęła, dodał: – Teraz zobaczysz to na własne oczy.

Przed drzwiami gabinetu sięgnęła pod T – shirt po klucz. Na tym samym łańcuszku miała jeszcze obrączkę ślubną matki. Nie mogąc ich rozdzielić, musiała rozpiąć łańcuszek, ale nim z powrotem nawlekła na niego obrączkę, podniosła ją do warg i pocałowała dla przypomnienia, kim jest i skąd pochodzi. Wzdychając, otworzyła drzwi.

Dlaczego jest taka spięta? Z powodu epidemii? Nie. Przede wszystkim dlatego, że Matt zapytał Tracy, czy nadal kogoś szuka. Hm, skoro Michael

bez trudu znalazł na jej miejsce inną kobietę, to dlaczego Matt miałby być inny? Bardzo mu zależy na tym, by się jej pozbyć. Im prędzej, tym lepiej. Może tak czują się larwy gza pod warstwą wazeliny?

Dlaczego Matt chce się jej pozbyć? Mogłoby się wydawać, że atmosfera między nimi się poprawia, ale to chyba złudzenie. Niezależnie od tego, co on myśli, ona chce zostać. Powód, dla którego zdecydowała się na Amazonię, może nie do końca był filantropijny, ale już wcześniej przychodziło jej do głowy, by w przyszłości... Problem w tym, że ta przyszłość nagle się zmaterializowała, przygniatając ją niczym blok granitu.

Ma jakieś wyjście? Wracać do Nowego Jorku? Błagać Michaela, by się za nią wstawił przed radą lekarską?

Otrząsnęła się. Na półce znalazła egzemplarz „Chorób tropikalnych” Mansona, taki sam jak ten, który zostawiła w domu. Z powiększonym wizerunkiem komara *Aedes Aegypti* na okładce. Smukłego, delikatnego, z odnóżami w białe paski. Można by powiedzieć: piękny owad. Dopóki się nie wie, że czerwony odwłok zawdzięcza swą barwę dopiero co wysranej krwi.

Otrząsnęła się. Niewinna powierzchowność, ale gdy takiemu osobnikowi pozwoli się zbliżyć, może wyrządzić dużo złego. Bo przy bliższym kontakcie znieczula. Ofiara nawet nie wie, co się stało, a już jest za późno. Kartkując podręcznik, bez trudu trafiła na właściwy rozdział. Dziwne.

Jednak jeszcze bardziej zaskakujące były uwagi odręcznie spisane na marginesie.

Nie, to nie może być pismo Matta. Czytała, przygryzając wargę. To nie Matt. W miarę, jak mijały dni, litery stawały się coraz bardziej niewyraźne. Brunatna plama na kolejnej stronie bardzo przypominała... Nagle wszystko stało się jasne.

Te notatki robiła żona Matta! To opis walki ze śmiercią. Jej śmiercią.
Na chorobę, z którą teraz przyjdzie im walczyć.

TTLR

ROZDZIAŁ SIÓDMY

– Znalazłaś informacje na temat dengi? – zapytał, nie odrywając wzroku od rzeki.

– Tak, doczytałam rozdział do końca. – Ma mu powiedzieć o swoim odkryciu? Najwyraźniej zapomniał o tych notatkach na marginesie, bo chyba by jej nie polecił lektury tego rozdziału. A może zrobił to świadomie, by ją ostrzec i przestraszyć?

– To dobrze. – Znowu masował kark. Przez minione cztery dni robił to bardzo często.

– Odwróć się – powiedziała.

– Co? – Spojrzał w jej stronę, lekko się krzywiąc, gdy przekreślił głowę o nieco więcej niż trzydzieści stopni.

– Boli cię kark – stwierdziła. – Liznęłam trochę kręgarstwa. Byłeś z tym u specjalisty?

Wzruszył ramionami.

– Jakiś czas temu spadłem z drabiny. To nic poważnego.

– Jak nic poważnego, to daj, obejrzę.

Już wcześniej miała ochotę mu to zaproponować, ale był nieprzystępny. Co więcej, każdy nawet przypadkowy kontakt natychmiast rozbudzał jej hormony. Mimo to chce go dotykać? Nim zdążyła wycofać ofertę, ponownie odwrócił się w stronę rzeki.

Okej, uznała to za zaproszenie. Zastanawiała się, od czego zacząć, ale zważywszy na różnicę wzrostu, uznała, że musi przyciągnąć bliżej fotel.

– Stevie... Myślę, że nie...

– To nie myśl. – Sama chyba też przestała myśleć. – Jesteś za wysoki,

musisz usiąść.

Nie wiadomo dlaczego usiadł. Stając przed nim, wysoko uniosła brwi.

– O co ci chodzi?

– Zdejmij koszulę.

– Chyba żartujesz.

– Jestem lekarzem i już to widziałam. – Roześmiała się. – Wiesz co?

Zawsze chciałam wydać takie polecenie, ale moi pacjenci zazwyczaj byli nieprzytomni, gdy trafiali w moje ręce.

– Szczęściarze.

– No, nie psuj zabawy.

– Cieszę się, że cię to bawi – zachnął się. Mimo to ściągnął koszulę.

Na widok jego opalonej, muskularnej klatki piersiowej poczuła, że kręci się jej w głowie. Okej, może nie był to najlepszy pomysł. Nie pozostawało jej jednak nic innego, jak przystąpić do działania. Odetchnęła głęboko. Kiedy mięśnie karku się rozluźnią, zbada kręgi. Ale te mięśnie wcale nie chciały się rozluźnić. A nawet bardziej tężały pod jej palcami.

– Nie spinaj się.

– Wcale się nie spinam.

– Hm... Myślisz, że nie czuję? – Wbiła palce mocniej, a gdy się skrzywił, dodała: – Nic z tego nie będzie, dopóki się nie dowiem, na czym polega problem. Chyba że wolisz się położyć na stole w gabinecie.

Jego mięśnie stały się twarde jak kamień, a pod nią ugięły się kolana. Kurczę.

– Nic nie mogę zrobić, jak siedzisz – wyjaśniła.

– Czy ty chociaż masz licencję?

Odprężyła się.

– Nie, ale byłam blisko. Załatwił mnie jeden kręgosłup. Facet był zbyt

włochaty.

W odróżnieniu od pleców Matta, ciepłych i gładkich. Z wyjątkiem tego jednego miejsca z prawej strony, tam gdzie kark łączy się z barkiem. Znalazła ten punkt i nacisnęła z całej siły.

– Auu!

– Siedź cicho i się ciesz! – Roześmiała się.

– Z czego mam się cieszyć?

Z tonu jego głosu wywnioskowała, że jednak nie było to nieprzyjemne.

– Lepiej? – zapytała po chwili.

– Nie.

Lepiej, lepiej, bo westchnął.

– Daj mi piętnaście minut, a będziesz śpiewał inaczej.

Jęknął, ale przechylił głowę we właściwym kierunku.

– Wydawało mi się, że kardiochirurg ma delikatne palce.

– Chcesz mnie obrazić? – Uciskała coraz wyżej, coraz bliżej miejsca, gdzie mięśnie podtrzymują czaszkę.

– Nie, skądże.

– Mam przestać?

– Hm... Jeszcze nie.

– No widzisz, zawsze tak jest. Najpierw jęczą, a potem wzdychają.

– Ale zabawne. Wydawało mi się, że jako kręgarz jeszcze nie miałas do czynienia z pacjentem.

– O nie. Powiedziałam już, że się zniechęciłam, jak trafiłam na niewłaściwego pacjenta.

– Chyba się rozminęłaś z powołaniem.

– Wcześniej mówiłeś co innego.

– Bo byłem głupi.

– No proszę. Jestem ci potrzebna, czy tego chcesz, czy nie. Jeszcze chwila, a będziesz prosił, żebym została.

Nie miał zamiaru o cokolwiek jej prosić nawet teraz, kiedy już nic mu nie doskwierało. Poza jednym nieposłusznym narządem.

– Chyba już wystarczy – zauważył.

– Na pewno? Mam tu jeszcze jedno takie miejsce, z którym nie mogę sobie poradzić.

Nie ty jedna, pomyślał. Ale temu miejscu nie zrobi się lepiej, dopóki nie przestaniesz.

– Na pewno. – Odchrząknął, szukając innego tematu. – Opowiedz mi o tym rozdziale o gorączce krwotocznej.

Jej ręce znieruchomiały na jego ramionach.

– O co pytasz?

– No, czy dowiedziałaś się czegoś nowego.

– Matt...

Dlaczego ona się waha? O kurczę. Przypomniał sobie o dopiskach na marginesie.

– Czytałaś te notatki.

Przykucnęła przed nim, wyraźnie poruszona.

– Tak, czytałam.

Może to i lepiej? Na myśl, że zabierze ją do Tupari, robiło mu się słabo.

– Czyli już wiesz, co nas czeka.

Przytaknęła, biorąc go za rękę.

– Tak mi przykro...

Zamknął oczy, by nie widzieć jej współczującego spojrzenia.

Na brzegu, milcząc ponuro, powitali ich tubylcy.

– Ojej... – szepnęła Stevie, gdy Nilson spuszczał łódkę.

Nagle Mattowi przyszło do głowy, że jej bermudy oraz T – shirt odsłaniają za dużo ciała.

– Idź się spryskać środkiem przeciwko komarom.

– Już to zrobiłam. Rano.

– Zrób to jeszcze raz. Komary żywią się za dnia, a przy tej liczbie chorych... – Dobrze wiedział, co może się wydarzyć. – Nikt nie zejdzie na ląd bez zabezpieczenia. Tiago i Nilson wiedzą, co robić. Na razie rozpakuj moskitiery, które przywiozłaś.

Spojrzała na brzeg.

– Mam też świece o zapachu cytronelowym.

– Super. Przynieś kilka na pokład i zapal. Musimy się chronić wszelkimi sposobami.

Już miała odejść, gdy nieoczekiwanie objął ją w talii, nagle czując potrzebę bliskości. Jej ciało, mimo że spocone, tętniło życiem. I zdrowiem. Do czasu. Co mu strzeliło do głowy pakować ją w taką sytuację?!

– O co chodzi? – spytała zaniepokojona.

– Pamiętaj, co mówiłem. Nie wolno ci ryzykować.

– Postaram się.

Gdy do statku podpłynęło canoe z wodzem plemienia, nabrał pewności, że sytuacja jest krytyczna.

– Idź. – Pchnął ją w stronę korytarza prowadzącego do ich kabiny. – I nie pokazuj się, dopóki nie spryskasz się od stóp do głów.

ROZDZIAŁ ÓSMY

– To denga.

Stevie już to wiedziała, ale zrobiło się jej jeszcze ciężiej na duszy, gdy Matt to potwierdził. Od czterech dni usiłowali zapanować nad epidemią i mimo że pracowali na zmianę, Stevie czuła, że jest wyczerpana.

– Co z jej dzieckiem? – zapytała, ocierając pot z czoła kobiety.

– To ona jest pacjentką. Skup się na niej.

– Jak możesz tak mówić?!

Od przyjazdu do wioski Matt się zmienił. Żadnych żartów, żadnych żelkowych prezentów. Nawet nie pocieszał pacjentów. Doglądał chorych z taką obojętnością, że aż ją to bolało. Wiedziała, dlaczego lekarz powinien zachować dystans, ale przerażała ją jego brak współczucia. Nie zachowywał się tak w wiosce, którą odwiedzili wcześniej, więc uznała to za reakcję na zetknięcie z chorobą, która zabrała mu żonę.

Ale to go nie usprawiedliwia.

– Lecząc ją, leczysz też płód. – To bezduszne stwierdzenie przywołało ją do rzeczywistości.

Jej uwaga skierowała się na mężczyznę, który ich obserwował, stojąc na skraju polany. Był to ten sam człowiek, który podpłynął do statku. Wydawał się spokojny, ale pomimo kamiennego wyrazu twarzy wyczuła w jego postawie ogromny niepokój.

– Kto to jest? – zapytała półgłosem.

Matt podniósł wzrok, odrywając stetoskop od brzucha chorej.

– Jej ojciec.

– A mąż? Gdzie on jest?

Matt wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Pewnie u szamana.

Kobieta rzucała się, trawiona wysoką gorączką. Stevie po raz pierwszy miała okazję zobaczyć, co denga robi z chorymi, widziała ludzi, którzy z powodu dreszczy szczękali zębami. Odkąd przyплыnęli do wioski, zmarła jedna osoba, druga z kolei śmiertelna ofiara dengi. Niestety kilku pacjentów było w stanie krytycznym jak ta kobieta. Matt obmacywał jej brzuch. Wcześniej udawał, że się nie przejmuje, ale nie teraz, gdy badał stan dziecka. Na pewno chciał, by przeżyło.

– Na szczęście jeszcze nikt nie miał krwotoku – zauważyła.

– Ta wioska ma szczęście, bo to tutaj pierwsza taka epidemia od wielu lat. Ale jeśli się powtórzy, już tak dobrze nie będzie. – Podniósł na nią wzrok. – Tak na marginesie, dzieciak jest w porządku. Pójdę porozmawiać z jej ojcem.

Przypomniała sobie, jak stanowczym gestem chwycił ją za ramię, każąc wrócić do kabiny i dokładnie spryskać się środkiem przeciw komarom.

Podchodząc do mężczyzny, Matt wyjął coś z torby, po czym mu to podał, ale on odtrącił rękę. Matt zaczął mówić podniesionym głosem, więc wszystko słyszała.

– Ludzie pójdą w twoje ślady. Jeśli ty nie zadbasz o siebie, oni też nie będą się chronić i wielu umrze.

Aha, to środek odstraszaający komary. Matt chce mu dać całe opakowanie i namówić, by go używał. Mężczyzna popatrzył na córkę, która rzucała się w drgawkach. Stevie niemal widziała, co dzieje się w jego głowie. Czuł, że zdradzi swój lud, jeśli zacznie się chronić przed zachorowaniem, gdy jego córka i jej dziecko walczą o życie.

Stevie jeszcze raz otarła czoło chorej, po czym wyszła spod moskitiery, która wprawdzie dziewczyny już nie chroniła, ale zapobiegała roznoszeniu wirusa. Stevie podeszła do nich, mimo że Matt ostrzegawczo ściągnął brwi, i bezpośrednio zwróciła się do mężczyzny.

– Musisz być zdrowy. Pomyśl o córce. Chyba nie chcesz, żeby jak odzyska przytomność, zobaczyła, że jesteś chory. Będzie się o to obwiniała, a powinna całą swoją energię skierować na zdrowienie.

Mężczyzna nawet na nią nie spojrzał.

– Kim jest ta kobieta? Nowa żona?

Matt masował kark.

– Ona jest lekarzem z programu *Projeto Vida*.

– Twoja żona też była lekarką.

– Moja żona była pielęgniarzką.

Tego Stevie nie wiedziała. Przez ostatni tydzień Matt był wyjątkowo spięty, i to raczej z jej powodu niż z powodu epidemii. Kładła to na karb warunków, w jakich przyszło im mieszkać, ale teraz przyszło jej do głowy, że kryje się za tym coś więcej. Matt nie ma nic przeciwko kobietom w roli lekarza. Owszem, w niektórych kulturach jest to praktycznie nie do zaakceptowania, ale Matt na pewno ma inne podejście.

– Ona nie jest Brazylijką.

– Nie, nie jest. Jest Amerykanką jak ja.

– Ale jej portugalski jest inny niż twój. – Spojrzał na nią po raz pierwszy, a w jego oczach wyczytała inteligencję i nieufność. Zrobiło się jej przykro. Nie chciała stwarzać problemów. Czy ten człowiek nie zgodzi się, by pomogła jego córce?

– Jest w Brazylii od niedawna. Ale jest bardzo dobrym lekarzem.

– Powinieneś dać jej wiano, żeby z tobą została – oznajmił

mężczyzna. – Szybko się nauczy naszych obyczajów.

– Wiano? – spytała zaszokowana, co nie uszło uwadze Matta.

– W moim kraju nie ma takich zwyczajów – wyjaśnił. – Ożeniłem się z nią bez wiana.

Serce jej zatrzepotało. Uprzedzał ją, że być może będą zmuszeni udawać małżeństwo, ale w innych wioskach jej obecność nie budziła zastrzeżeń, więc pomyślała, że przesadzał.

– To znaczy, że jest dla ciebie dużo warta. – Powiódł wzrokiem w stronę pryczy. – Moja córka też jest dużo warta. Wioska dużo wam zapłaci, jak ją uratujecie.

Matt ściągnął brwi.

– Zrobimy, co się da. I nie musicie nam nic płacić.

– Muszę do niej wracać – rzuciła Stevie po angielsku.

Kilka minut później przykucnął obok niej.

– Użył tego środka. Dzięki tobie.

– Czy to znaczy, że już ustaliliście wartość jego córki i walutę wypłaty?

– Wiem, że trudno się pogodzić z takim myśleniem, ale ta społeczność nie jest tak postępową jak niektóre inne. – Ujął ją pod brodę, by na niego spojrziała. – Stevie, to był tutejszy wódz. Odzywając się do niego bez pozwolenia, dużo ryzykowałam.

Te słowa przypomniały jej, dlaczego znalazła się w Brazylii, „Doktor Wilson nie przestrzega protokołu szpitalnego”.

Ale wtedy nie było chwili do stracenia. Jej maleńki pacjent walczył o życie, a jego rodzice byli zrozpaczeni. Podobnie jak wódz tej wioski. Niestety w amerykańskich szpitalach obowiązuje biurokracja i sztywne procedury. Na podstawie badań malca zorientowała się, że nie ma na nie

czasu, więc omijając je, wykonała operację wszczepienia by – pasa. Dla jej przełożonych powinno się liczyć, że uratowała ludzkie życie, ale jej były narzeczony przemilczał pewne istotne fakty, tak aby jedynym dowodem było zlekceważenie przez nią przepisów.

– Przepraszam, nie wiedziałam, że to wódz.

– Powiniennem był cię uprzedzić. Mamy prawo tu zaglądać wyłącznie za jego zgodą, więc cię proszę, żebyś na razie siedziała cicho. Chodzą słuchy, że ich szaman chce, żebyśmy się stąd wynieśli.

– Jak to? Mimo że to by oznaczało nowe ofiary?

– Jego władza nad tymi ludźmi słabnie, gdy przestają mu wierzyć. Bywam w tej wiosce od sześciu lat i nie było żadnych problemów, dopóki...

– Ja się nie zjawiłam.

– Tego nie powiedziałem. – Odgarnął jej z policzka kosmyk włosów.

– Nie mam pojęcia, co się stanie, jeżeli córka wodza umrze.

– Nie umrze. Bo na to nie pozwolimy.

Wzrok mu pociemniał.

– Nie zawsze mamy na to wpływ.

– Tak, masz rację. Możemy się tylko starać.

– A jak to za mało?

– Wtedy trzeba się modlić.

Mógłby ją wyśmiać, ale tylko szepnął:

– Więc już zacznij.

Gdy spojrzał na wargi Stevie, nie przestając gładzić jej po policzku, zrobiło się jej jeszcze goręcej i bezwiednie wtuliła twarz w jego dłoń. Pocałuje ją?

Gdy nieoczekiwanie kobieta na pryczy zajęczała w malignie, Matt zerwał się na równe nogi.

– Muszę iść do innych pacjentów.

Wydostał się spod moskitiery, nim zdążyła zareagować. Siedziała przez chwilę, spoglądając na swoje drżące ręce, potem ułożyła chorą w wygodniejszej pozycji, przez cały czas przekonując się, że dotyk Matta nie zrobił na niej żadnego wrażenia, że to tylko nerwy... i zmęczenie. Wyśpi się i będzie jak nowa. Jednak wcale nie była pewna, czy to cokolwiek zmieni.

Gdzie ma szukać innego rozwiązania, skoro jeszcze nawet nie rozumie problemu?

Dlaczego gładził ją po policzku?

Już wtedy, gdy masowała mu kark, pojął, że nie powinien jej dotykać. Gdy stała za nim, a jej włosy opadły mu na ramiona, poczuł, że traci wewnętrzną równowagę. Pierwszy raz od śmierci żony pożądanie dało znać o sobie tak mocno, że czuł, że grunt usuwa mu się spod nóg. Tak, to tylko pożądanie.

Siedząc na powalonym pniu nad rzeką, starał się skupić na sprawdzaniu szczelności moskitier. Za nim dżungla tętniła życiem, przed nim, na rzece, tubylcy z dwóch łódek zarzucali sieci.

Trzeba jeść, nawet podczas epidemii. Niektórzy z tych mężczyzn mają w rodzinie chorego, ale muszą pracować. On też powinien pracować, ale potrzebował oddechu. Gdzie nie poszedł, tam była Stevie, przynosiła ulgę chorym, pocieszała zmartwionych. Każdy jej gest rozniecał jego zmysły do tego stopnia, że z trudem nad nimi panował.

Tak jak on przyleciała do Brazylii pomagać. Może właśnie to tak go w niej pociąga? Już na studiach wiedział, że chce to robić, po stażu ożenił się z Vickie i namówił ją, by tego spróbowała. I tak zostali w Amazonii. Jego decyzja sprawiła, że Vickie już nie ma. Gdyby zostali w jakimś szpitalu w Stanach, żyłaby... a ich dziecko spokojnie by się rozwijało.

Uderzył pięścią w stertę moskitier, próbując nie myśleć o dziecku, które umarło w brzuchu matki. Utkwił wzrok w zaroślach na drugim brzegu, by uwolnić się od wspomnień, ale nie chciały go opuścić. Vickie była w czwartym miesiącu, kiedy zaraziła się dengą, a gdy zachorowała, bardziej martwiła się o dziecko niż o siebie. Te wspomnienia wróciły, gdy ujrzał na pryczy córkę wodza w zaawansowanej ciąży... i gdy Stevie dała wyraz zaniepokojeniu o los dziecka.

Nie wolno mu jej więcej dotknąć.

– Matt!

Odwróciwszy się, ujrzał Stevie biegnącą ścieżką prowadzącą z wioski.

– Szukam cię już od pół godziny – wysapała zadyszana.

– Wysłał mnie do ciebie Nilson.

– Z czym? – Nie odrywał wzroku od splątanej moskitiery.

Przyklękła przed nim, chwytając go za rękę.

– Szaman chce cię zobaczyć. Zaraz.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

– Jeśli córka wodza wyzdrowieje, będzie wielka uroczystość na waszą cześć, jeśli umrze...

Szaman zamilkł, ale Matt czytał między wierszami. *Projeto Vida* miało oficjalny status organizacji pozarządowej, ale gdyby on i Stevie nagle zniknęli, nikt by ich nie szukał, chyba że Tracy. Jedyne żyjące brat Matta nie widział go od lat, więc upłynęłyby kolejne lata, nim by się zorientował, że Matt zaginął.

Na podjęcie decyzji dostali czas do zachodu słońca. Albo zostaną i będą dalej walczyć o życie Belini, albo odpłyną i więcej się w wiosce nie pokażą. W rzeczywistości władza wodza była jedynie symboliczna, bo prawdziwą władzę miał szaman i demonstrował to przy każdej okazji. Sprzeciwianie mu się nie wchodziło w rachubę.

Mijały minuty, a jedynym odgłosem był szum generatora zasilającego lodówkę oraz inne urządzenia elektryczne na statku. Stevie stała na rufie i wrzucała kamyczki do rzeki. Była wściekła na Matta, że w ogóle brał pod uwagę możliwość odpłynięcia. On tymczasem, gdyby chodziło tylko o niego, nie wahałby się ani chwili, ale sprowadził tu

Stevie. Czy ma prawo narażać ich na ryzyko utraty życia w sytuacji, której rezultat daleki jest od pewności?

Skierowała się w jego stronę.

– Ja się stąd nie ruszę – oznajmiła, piorunując go wzrokiem. – Rób, co chcesz, ale ja nie zostawię tej kobiety na pewną śmierć.

– Nie ty tu decydujesz.

– Możliwe, ale już się zdecydowałam. Nie zmusisz mnie do zmiany

zdania.

- Mogę to zrobić i zrobię – wycedził przez zęby.
- Znajdę sposób, żeby tu wrócić – odparła niespieszona.
- Wynajmę... jakąś łódź, żeby mnie tu przywiozła.

I zginie. Albo jeszcze gorzej. Ona nie ma pojęcia, jacy faceci pracują na tej rzece. Jest wśród nich paru uczciwych, ale zdarzali się i tacy, którzy najmowali się jako przewodnicy, okradali turystów i porzucali ich w dżungli na pastwę losu.

- Kobieto, nie wiesz, na co się porywasz!
- Więc pomóż mi uratować Belini. – Odrzuciła warkocz na plecy. –

Gdyby mnie tu nie było, tobyś został. Wiem, że byś został.

Ale ona też tu jest. Co robić? Ma już na sumieniu jedną kobietę. Czy chce mieć dwie? A gdyby ją zmusił do powrotu do Coari? Nie, nie zostałyby tam ani przez chwilę. Zrobiłaby to, co powiedziała: wróciłaby, żeby opiekować się Belini. Czy on ma wybór?

– Jeśli mamy ją leczyć, to na moich warunkach. Musisz robić, co ci powiem, i ufać, że wiem, jak postępuje szaman.

Podeszła tak blisko, że miał ochotę się cofnąć.

- To znaczy, że zostajemy?
- Pod dwoma warunkami. Pierwszy, że masz mnie słuchać. Drugi, że jeśli sytuacja się zaogni i dojdę do wniosku, że trzeba się zwijać, bez gadania odpływasz razem ze mną.

– Och, Matt, dzięki. Nie pożałujesz.

Już żałował, bo stała tuż – tuż, a jej piękne wargi aż się prosiły o pocałunki, przyprawiając go o zawrót głowy. Gdyby mu każda przejść po rozżarzonych węglach, zrobiłby to. Położyła mu rękę na ramieniu.

– Gdybym tylko mogła...

Nie zdążyła dokończyć, bo zjawił się szaman w asyście dwóch mężczyzn.

– Postanowiliście zostać?

Matt przytaknął.

– Taką podjęliśmy decyzję.

– Wobec tego będziecie mieszkać w wiosce, osobno, u dwóch rodzin, a nie na statku.

Stevie rzuciła Mattowi pełne przerażenia spojrzenie. Jej strach go zmobilizował. Stanął przed nią, by pokazać, że nikt mu jej nie odbierze.

– Nie wyraziłem zgody na mieszkanie osobno. Jesteśmy małżeństwem i chcemy być razem.

– Łatwiej będzie ci dotrzymać naszej umowy, jak nie będziesz miał do niej dostępu.

Pomyśl, że w razie czego niepostrzeżenie wymkną się z wioski, spełzł na niczym. Szaman to przewidział.

– Jej pomoc jest mi potrzebna przy chorych.

Szaman splótł ramiona na piersi.

– Będziesz miał jej pomoc, ale osobno. Żadnych kontaktów, dopóki nie poprawi się stan córki wodza.

Niedobrze.

– Wobec tego odmawiam...

Stevie chwyciła go za rękę.

– Niech tak będzie – powiedziała po angielsku. – Ja się zgadzam. – Głos jej drżał, a jemu przyszło do głowy, że bardziej chce przekonać siebie niż jego.

Cholera. Jak mógł wciągnąć ją w coś takiego?! Od lat pływa po Amazonce, a Stevie jest dziewczyną z miasta. Jest tu obca. Będzie się bała.

Na jej miejscu też by się bał. Zaciśnął palce na jej dłoni.

- Uważam, że powinniśmy być razem.
- Ale to jego warunki...
- Owszem, jego. Zastanawiam się, czy je przyjąć.

Uśmiechnęła się blado.

– Mam nadzieję, że. twoją niechęć do rozstania ze mną widzą jako oznakę twojego przywiązania. Jako mężowski odruch. Brawo.

Nie potrafił sobie wyobrazić, że nie będzie jej oglądał całymi dniami, a może i dłużej.

– Gdybyś miała kłopoty, idź na statek. Uprzedzę Tiaga i Nilsona, że możesz się pojawić, a oni mnie odszukają.

– Poradzę sobie. Nie martw się o mnie. Zajmujmy się chorymi i szybko z tym skończmy.

Nie mógł się powstrzymać, by nie odgarnąć pasma włosów z jej ramienia.

– Napracowałaś się dzisiaj. Odpocznij. Dzisiejszej nocy ja będę przy nich dyżurował.

– Jesteś pewien?

Zirytowane pomruki szamana przypomniały mu, że cała trójka czeka, by zabrać Stevie Bóg wie dokąd.

– Jestem pewien. Postaram się wodzowi przemówić do rozumu.

Dwaj towarzysze szamana podeszli bliżej.

– Oni chyba chcą, żebym z nimi poszła. Do jutra... mam nadzieję, że wkrótce.

Wkrótce. Jak tylko będzie wiadomo, że Belini przeżyje... Albo umrze.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

– Mmm, smaczne! Jak to się nazywa? – Stevie siedziała po turecku na ziemi, jedząc coś, co przypominało świeżo upieczony chleb.

– *Beju*.

Przechyliła głowę w nadziei ujżenia „męża”. Nie ma to jak skok od narzeczonego, o którym się myślało, że się go zna, do „męża”, którego w ogóle się nie zna.

Obok młoda kobieta posypała rozgrzaną patelnię czymś, co wyglądało jak biały proszek, a co po chwili w magiczny sposób przybrało postać placek.

– *Beijo?* Jak pocałunek?

Kobieta zaśmiała się cicho, po czym wprawnym ruchem przerzuciła placek na deskę.

– Nie, nie jak pocałunek. *Bejuuuuu*. – Z emfazą przeciągnęła ostatnią sylabę. Posmarowała placek masłem, złożyła go na pół i podała Stevie.

– Nie, nie. Ten jest dla ciebie.

Nie słuchając, kobieta przełożyła placek na drewniany talerz Stevie. Nie mogąc się oprzeć, zjadła go do końca.

– Mam nadzieję, że nie tuczają jak naleśniki.

– Na – leśniki?

Stevie się roześmiała.

– Kiedyś cię nauczę. – Spoważniała, bo od strony rzeki znajoma sylwetka podążała w stronę szałasów, w którym leżała córka wodza. Matt swoim zwyczajem trzymał ręce w kieszeniach, ale szedł dziwnie przygarbiony. Chciała mu pomachać, ale przypomniała sobie warunki

umowy. Uznała, że lepiej nie zaogniać sytuacji, zwłaszcza że córka wodza wchodziła w krytyczne stadium choroby.

Wróciło wspomnienie noworodka, którego operowała w Nowym Jorku, jego donośny płacz, gdy się wybudził, wargi wcześniej sine, a po operacji zaróżowione, bo jego zreperowane serduszko zaczęło prawidłowo pompować krew do narządów. Westchnęła. Warto było.

Bardzo by chciała przeżyć podobne chwile radości, obserwując zdrowienie córki wodza. Ale nie było to jej dane, bo szaman przydzielił jej najlżej chorych, zostawiając Mattowi najcięższe przypadki, w tym Belini.

– Pomóc ci pozmywać, zanim wezmę się do pracy?

Kobieta przegoniła ją gestem, powędrowała więc nad rzekę, by chociaż ochłodzić stopy i ostudzić zmysły poruszone widokiem Matta. Brodziła w płytkiej wodzie, gdy nagle usłyszała znajomy głos.

– Nie boisz się anakondy?

Nie zdążyła krzyknąć, bo Matt zasłonił jej usta.

– Cicho, zapomniałaś, że nie wolno się nam spotykać?

Jak tylko ją puści, to go zabije za to, że tak ją zaskoczył.

Ale napór jego ud na jej biodra sprawił, że natychmiast zapomniała o morderczych zamiarach. Poczowała coś zupełnie innego.

Wyprowadził ją z wody w kępę zarośli i dopiero tam ją puścił.

– Co z Belini? – zapytała.

– Na razie w porządku. Mów ciszej – ostrzegł ją, spoglądając w stronę rzeki.

– Co tu robisz? Niedawno widziałam, jak szedłeś w przeciwnym kierunku.

– Unikasz mnie?

Tym razem to nie ona łamie zasady.

– Staram się postępować zgodnie z umową.

– Właśnie widzę. – Ściągnął brwi, po czym sięgnął do obrączki zawieszanej na łańcuszku. – Czy słusznie się domyślam?

– Owszem, ale to nie moja obrączka. – Nie miała ochoty opowiadać o tym, jak przyłapała narzeczonego na zdradzie. Prywatnej i zawodowej. Jeszcze nie teraz. – To obrączka mojej mamy. Umarła dwa lata temu. Może to dziecinne, ale mając ją, czuję się bliżej mamy.

– Przepraszam. Nie powinienem był pytać. – Odwrócił wzrok. – Wiem o tobie tyle tylko, ile wyczytałem z twojego podania, ale za sprawą Tracy były tani pewne niejasności. Biorąc pod uwagę to, co się ostatnio wydarzyło... No cóż, jak zobaczyłem tę obrączkę, zacząłem się zastanawiać, czy może ktoś gdzieś na ciebie czeka.

– Nikt już na mnie nie czeka.

Nagle dotarło do niej, że nic do Michaela nie czuje. Kiedy to się stało?

– Ale ktoś był?

– To już przeszłość.

Za to ona nie wie o nim absolutnie nic. Nawet nie miała okazji zapoznać się choćby z jego cv, a o śmierci żony dowiedziała się z podręcznika medycyny. Tak, mało wiedzą o sobie. Trzeba to zmienić.

– Mama odebrała sobie życie.

Milczał tak długo, że pomyślała, że może nie usłyszał. Ale kilka sekund później zahaczył palcem o łańcuszek.

– To smutne.

Była w złym stanie psychicznym, ale nikt nie zdawał sobie z tego sprawy. A potem było już za późno.

– A ojciec?

Mężczyzna uwielbiany przez nią w dzieciństwie okazał się

skończonym draniem. Być może właśnie dlatego tak głęboko przeżyła zdradę Michaela.

– Okazał się oszustem. Wykreśliłam go z życia.

– Stevie, a reszta rodziny? Ktoś wie, że jesteś tu ze mną? Ze mną. Serce podskoczyło jej radośnie, ale dotarło do niej, że Matt pyta, czy ktoś wie, że ona jest w Brazylii. Niekoniecznie z nim.

– Znajomi wiedzą.

Czy to nie żalosne? Dziewczyna, która nie ma bliskich. Nikt o niej nie myśli.

Puścił łańcuszek, po czym powiódł palcem po jej obojczyku.

– Powinnaś nosić bluzki z dłuższymi rękawami i mniejszym dekoltem.

Nagle zdała sobie sprawę, że nikt ich nie widzi i że w tych zaroślach mogliby zrobić wszystko. Kaszlnęła.

– Spryskałam się środkiem przeciwko komarom.

– Szkoda, że nie działa na większe szkodniki. – Spuścił wzrok na jej wargi, po czym nagle cofnął się o krok.

– Rano badałem Belini. Jej stan się poprawia. Możemy powiedzieć wodzowi, że wyzdrowieje, a potem odpłynąć.

– Tak myślisz? – Ściągnęła brwi. – Matt, ona jest w ciąży. Chcesz zaryzykować?

– Tak.

Nie dowierzała własnym uszom.

– Niemożliwe. Nawet jeśli tak, to ja nie jestem na to gotowa. Poza tym nie masz pewności, że inni nie zarażą się od tych aktualnie chorych. Okres inkubacji jeszcze się nie skończył.

– Ty też możesz się zarazić, jak będziemy tu za długo. Na statku mogę

ci zagwarantować jakieś zabez...

– Zabezpieczenie? – To by wyjaśniało rozpacz dźwięczącą w jego głosie. – Matt, nie jesteś panem Bogiem. Nie zabezpieczysz całej ludzkości.

Popatrzył na nią ze smutkiem.

– I dobrze się składa, że nie jestem, bo ludzkość miałaby spory problem.

– Nie wierzę. Robisz mnóstwo dobrego. – Pogładziła go po policzku.

– No właśnie, muszę iść do pacjentów.

– Już ich zbadałem.

– Wszystkich? Miałeś się trzymać z daleka od moich chorych. Tak przykazał szaman.

– Mnie też kazał trzymać się od ciebie z daleka, a jednak tu jestem. – Uśmiechnął się. – Nie zawsze trzymam się zasad.

– Tak?

Jego wzrok ponownie powędrował do jej warg.

– Nie wszystkich. – Wsunął palce w jej włosy, a pod nią ugięły się kolana.

– Masz zamiar teraz złamać jakąś zasadę?

– Tak. Domyślasz się którą?

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Zasady? Na co komu zasady?

Już na lotnisku wyobrażał sobie ten pocałunek, ale jak przystało na prawdziwego macho, wypierał to, jednak dłużej już nie mógł udawać. Poświęcił się pracy, nie myśląc o rodzinie oraz przyszłości i wyobrażając sobie, że musi to poświęcić, aby pomagać chorym.

Ale jeśli Stevie przyświeca ten sam cel...

Gdy pocałunek stał się bardziej namiętny, dopadły go inne myśli. Nieważne, jaki cel jej przyświeca. On świadomie usunął z życia pewne sprawy. Chciał czuć się odpowiedzialny wyłącznie za siebie i pacjentów. W jego mniemaniu zaangażowanie emocjonalne kłóciło się z rzetelnym wykonywaniem zawodu, bo gdy uległ uczuciu, spowodowało to na innych nieszczęście. Umierali.

To, co teraz robi, jest ze wszech miar niewłaściwe. Pieszczota języka Stevie przywołała go do porządku. Zsunął dłonie na jej ramiona, lekko ją odsuwając.

– C.. co się stało? – Zamrugęła powiekami.

Walczył z sobą.

– Przepraszam – wykrztusił.

– Przepraszasz?

– Źle zrobiłem.

Odgarnęła włosy z twarzy.

– Rozumiem.

Czy na pewno? Bo on już nic nie pojmował.

– Chyba jednak nie umiem łamać zasad – wyznał.

– Aha. Być może nigdy nie znalazłeś się w sytuacji, w której tak zwane zasady okazały się nieistotne.

Tu się myliła. Były w jego życiu takie sytuacje, ale to nie znaczy, że wolno mu ulegać pokusom i realizować zachcianki. Bo to tylko zachcianka. Parę godzin w jej ramionach. Więcej nie zaryzykuje. Dla nikogo.

– Większość zasad ma sens – bronił się.

– Jak ta ustanowiona przez szamana? Uratujcie córkę wodza albo pożałujecie? – Związała włosy w koński ogon i odrzuciła na plecy.

– Przecież już powiedziałem, że Belini ma się lepiej, więc nie ma o czym rozmawiać. Możemy odpłynąć.

– Ale mogą zachorować inni. Nie wiesz, u kogo wystąpi postać klasyczna, a u kogo gorączka krwotoczna. – Zawiesiła głos. – Ani ty, ani twoja żona nie wiedzieliście, co ją spotka. – Zbladła. – Och, Matt, żałuję, że to powiedziałam. Ale odniosłam wrażenie, że była przekonana, że za tydzień, dwa stanie na nogi.

– Oboje wierzyliśmy, że najgorsze ma za sobą – rzekł półgłosem. – Do pierwszego krwotoku z nosa.

Dotknęła jego ramienia.

– Otóż to. Dlatego musimy zostać. Jeśli to samo spotka Belini, a nas już nie będzie, to kto jej pomoże? Potrafisz żyć ze świadomością, że mogłeś temu zapobiec?

Czy mogłeś, czy powinieneś zapobiec śmierci żony? – wyczytał między wierszami. Ręce mu opadły.

– Chcesz być przy tym do samego końca?

– Tak.

– A jak...?

Ktoś we wsi go wzywał. Tiago. Matt po raz pierwszy usłyszał jego

podniesiony głos.

– Coś się stało. Muszę iść.

Chwyciła go za ramię.

– Idę z tobą. Pał sześć zasady.

Przytaknął, czując, jak adrenalina zaczyna tętnić mu w żyłach. Gdy dobiegli do osady, wokół szałasu Belini zebrała się spora grupka gapiów.

Tiago już na nich czekał.

– Co się dzieje? – zapytał go Matt.

– Nie bardzo wiem. Jest u niej szaman.

– Dlaczego? – Poprzedniego dnia szaman zgodził się zostawić ją pod ich opieką.

– Chyba się pogorszyło. Jej mąż cię szukał kilka minut temu, ale cię nie znalazł i przyprowadził szamana oraz wodza.

Zalała go fala wyrzutów sumienia. Całował się w zaroślach ze Stevie, kiedy tu wybuchło piekło. To on odpowiada za Belini, nikt inny.

– Matt powiedział, że pół godziny temu czuła się dobrze – wtrąciła Stevie.

Gdy przenikliwy krzyk przeszył powietrze, Matt wpadł do szałas. Stevie za nim. Skóra mu ścierpła. Belini jęczała skulona na posłaniu, a pod nią rozlewała się plama krwi. Obok stał jej przerażony mąż.

Krwotok, mimo że rano czuła się dobrze?

– Pozwól mi ją zbadać.

Wódz nieco się przesunął, ale szaman nie ruszył się z miejsca, rozkładając na ziemi różne zioła i intonując coś w miejscowym narzeczu. Matt przykucnął przy pryczy Belini. Sprawdził jej źrenice, przyjrzał wymizerowanej twarzy. Nie stwierdził krwawienia ani z nosa, ani z uszu.

– Matt, myślę, że ona rodzi – odezwała się Stevie po angielsku.

Niedobrze, bo sporo przed czasem.

Pomógł dziewczynie obrócić się na plecy, po czym obmacał brzuch. Tak, Stevie ma rację.

– Przynieś moją torbę. Jest przy głównym palenisku.

Stevie bez słowa wybiegła z szałas, Matt tymczasem zwrócił się do wodza.

– Poproś, żeby wszyscy wyszli. – Zawahał się. – Oprócz szamana.

Nie pora na walkę o władzę. Poza tym uznał, że przyda mu się każda pomoc, nawet wstawiennictwo szamana u sił wyższych.

– Co jej jest? – zapytał wódz opanowanym głosem, ale Matt wyczuł, że ojciec Belini stara się nie niepokoić obecnych. Pod tą surową maską było serce kochającego i zrozpaczonego ojca.

– Jeszcze nie wiem, ale myślę, że twoja córka rodzi.

Wódz się wyprostował.

– Każę sprowadzić tu akuszerkę, żeby cię zastąpiła. Mężczyźni nie mogą być przy porodzie.

Matt przypomniał sobie uwagę Stevie, że zasady czasami trzeba łamać.

– Stevie z nią będzie, ale i ona może potrzebować mojej pomocy.

Zerknął na szamana, świadom, że ten słyszy każde jego słowo, nawet jeśli wydaje się pochłonięty tym, co robi. – Jak pamiętasz, denga zabrała mi żonę. Nie pozwolę, żeby to samo stało się twojej córce. Zrobię wszystko, żeby ją uratować.

Wódz pokiwał głową.

– Tak, pamiętam. Wierzę ci na słowo. – Położył rękę na ramieniu zięcia. – Czy chcesz, żeby ten człowiek, leczył twoją żonę?

Młody człowiek rzucił Mattowi spojrzenie przepelnione strachem. Porozumieli się bez słów.

– Tak. Róbmy, co każe.

Kiedy Matt wypraszał wszystkich z szałas, wróciła Stevie. Zdawał sobie sprawę, że stąpa po bardzo cienkim lodzie. Szaman, który zgodnie z jego przewidywaniami nie wyszedł na dwór, będzie uważnie obserwował ich każdy ruch.

– Ty jesteś tu osobą odpowiedzialną – rzekł po portugalsku, żeby wszystko było jasne. – Wódz pozwolił mi zostać tylko dlatego, że mam doświadczenie z dengą. Mężczyźni nie asystują przy porodach.

– Jak to? – zdziwiła się. – Tym razem starszyzna plemienna mogłaby zrobić wyjątek.

Głęboko przeżył stratę Vickie i nikomu by tego nie życzył, ale jej śmierć otworzyła mu dostęp tam, gdzie wcześniej nie miał do tego prawa. Postanowił to wykorzystać.

– Uprzedziłem ich, że możesz potrzebować mojej pomocy. – Skierował wzrok na szamana w nadziei, że Stevie nadaża za jego myślami i nie będzie polemizować.

Zrozumiała.

– Czy w trakcie porodu może dojść do krwotoku? – zapytała rzeczowo.

– Ona tylko płami. Innego krwawienia nie stwierdziłem. Idźmy krok po kroku.

Gdy przygotowywał instrumenty, Stevie przykucnęła przy dziewczynie, dotykając jej policzka.

– Hej, skarbie, wiem, że się boisz i źle się czujesz, ale myślę, że twoje dziecko chce zobaczyć mamę.

– Jestem taka zmęczona... – jęknęła Belini przy kolejnym skurczu. – To tak strasznie boli...

– Wiem, skarbie, ale jesteśmy przy tobie. Pomożemy ci.

– Oczekała, aż skurcz minie, po czym ujęła ją za rękę. – Jak poczujesz, że zbliża się skurcz, nabierz dużo powietrza i powoli je wypuść.

Upłynęły dwie godziny, a poród się nie kończył. Belini traciła siły. Zanosilo się na cesarskie cięcie, co wymagało przeniesienia jej na statek. Stevie jednak wyczuwała obawę Matta, że znieczulenie może okazać się ryzykowne, nawet gdyby szaman na to zezwolił.

Zaklął pod nosem.

– W dalszym ciągu ułożenie pośladkowe. Nie przejdzie, bo miednica za wąska. Przy następnym skurczu ponownie spróbuję je odwrócić.

Stevie przygryzła wargi, zdając sobie sprawę, jak nieprzyjemne były dla dziewczyny poprzednie próby, ale tylko przytaknęła. Matt wie, co robi, a mimo to dzieciak wracał do poprzedniej pozycji, potylicą uciskając kręgosłup matki. Dla kobiety tak drobnej budowy i wyczerpanej chorobą jak Belini...

– Teraz... Pomóż jej przeć.

Stevie naciskała, ale nie uszły jej uwadze kurczowo zaciśnięte szczęki Matta, który ręcznie usiłował zmienić ułożenie płodu. Cichy jęk rodzącej rozdzierał jej serce.

– No, chodź, maleńki – szeptała. – Ustaw się tak, jak chce wujek Matt.

– Powiedz jej, żeby parła. Prawie go mam. Jeszcze, jeszcze trochę.

– *Empurre!* – Przyjcie, poleciał obu.

Stevie uciskała brzuch rodzącej, wyczuwając pod palcami każdy najmniejszy ruch do przodu.

– Stop! Stop!

Zamarły. Nawet szaman umilkł.

– Co się dzieje? – wykrztusiła Stevie.

– Widzę główkę. – Matt się uśmiechał, mimo że pot spływał mu po twarzy. – Najtrudniejsze za nami. Teraz jeszcze tylko musimy uwolnić ramionka.

Stevie pochyliła się nad Belini.

– Twoje dziecko zaraz przyjdzie na świat – szepnęła jej do ucha.

Dziesięć minut później rozległ się rozzłoszczony wrzask, jakby to ten maluch, a nie jego matka, zwyciężył w tej rundzie. Udręczona Belini spojrzała na Stevie.

– On płacze.

– Tak, on płacze! – roześmiała się Stevie.

– To naprawdę jest „on” – oznajmił Matt. – Mały, ale zdrowy i różowutki.

– Dzięki Bogu. – Stevie poczuła, że ma miękkie kolana, więc przysiadła. – Oznaki dengi?

Matt owinał maleństwo czystym ręcznikiem.

– Ani śladu, ale... – Zawahał się. – Denga bardzo rzadko atakuje płód.

Spojrzała na niego, starając się ocenić jego nastrój. Powinien być zachwycony. Chwilę temu był, ale teraz wydawał się kompletnie obojętny. To z wyczerpania. Na pewno, bo ona też jest kompletnie wypompowana.

Szaman bez słowa zwinął szmatkę, na której wcześniej rozłożył zioła i amulety, schował ją do woreczka zawieszzonego na szyi, po czym opuścił szalas.

Matt podał dziecko Belini.

– Boję się, że zrobię mu krzywdę – wyszeptała.

Gdy Matt nie zareagował, Stevie odgarnęła jej włosy z czoła.

– Nie zrobisz – szepnęła. – On jest bardzo dzielny. Jak jego mama.

Matt podniósł się z klęczek. Na widok jego zaciśniętych pięści serce

się jej ścisnęło. Jaki on jest samotny. Ten poród kosztował go tyle wysiłku! Spodziewała się, że odetchnie z ulgą albo że się uśmiechnie jak wtedy, gdy wyczuł główkę dziecka.

– Dobrze się czujesz? – zapytała, kładąc mu rękę na ramieniu.

Pomimo gorąca panującego w szalasię jego skóra była lodowata. Dzieje się coś zdecydowanie złego.

Odwrócił się, by pozbierać instrumenty.

– Nic mi nie jest. To zmęczenie.

Ona też jest zmęczona, nie mówiąc o Belini, ale to coś innego.

– Matt...

– Stevie, daj mi spokój. – Podniósł na nią wzrok. – Belini jest okej, dziecko też. Wszystko jest okej.

Nie wszystko, ale, jak powiedział, na razie należy dać mu spokój. Nie pora na pytania.

– Cieszę się, że się udało.

– Tak, ja też.

Nim się zorientowała, opuścił szalasię, za to do środka wszedł wódz oraz mąż Belini. Wódz z rozrzewnieniem spoglądał na córkę.

– Oboje zdrowi? – zapytał.

Uśmiechając się, Stevie przytaknęła.

– Belini musi teraz dużo odpoczywać, bo nadal jest chora, ale dziecko jest zdrowe.

– Chłopiec? – zapytał mąż.

– Tak. – Spodziewała się demonstracji męskiej dumy, gdy tymczasem chłopak przyklęknął, by pogłodzić Belini po policzku.

– Dziewczynka byłaby podobna do ciebie – powiedział, a Belini się do niego uśmiechnęła.

Stevie ze łzami w oczach obserwowała tę scenę. No cóż, skoro ja sama nie panuję nad emocjami, pomyślała, to nie mam prawa oceniać Matta. Każdy inaczej reaguje na adrenalinę.

– Na chwilę zostawię was samych – powiedziała. – Ale pamiętajcie, że Belini ma odpoczywać.

Wódz przytaknął.

– Przyślę tu kobiety, żeby zajęły się dzieckiem.

– Słusznie. – Stevie wychodziła z szałasów z zamiarem odszukania Matta, ale zobaczyła go od razu. Stał z szamanem. Albo jej nie zauważyli, albo ją zignorowali, a sądząc po mimice Matta, o coś się spierali.

Gdy ruszyła ku nim, Matt gestem głowy ją powstrzymał. To znaczy, że ją widział. Przystanęła niezdecydowana, czy ma na to nie zwracać uwagi i podejść, by się dowiedzieć, o co chodzi, czy wrócić na statek i wziąć prysznic. Jeśli rozgniewa szamana, Matt niczego nie wynegocjuje. Zatem prysznic.

Na szczęście na brzegu zastała Tiaga.

– Co z nią?

– Belini i dziecko są w porządku.

– To dobrze. To bardzo dobrze.

– Podwieziesz mnie na statek?

– Oczywiście. – Spojrzał w kierunku wioski. – Mateus z tobą nie popłynie?

– Nie. Jest... zmęczony. – Sam tak powiedział.

Jeśli skłamał, to trudno. Trafi na statek albo bez słowa pożegnania uda się do szałasów, którego mu użyczono w wiosce. Wsiadła do łódki, opadła na najbliższą ławkę i zapatrzyła się w mętne wody Rio Preto.

Najwyraźniej udzielił się jej nastrój Matta. Otrząsnęła się

niezadowolona, mruczając pod nosem:

– Belini jest okej, dziecko też. Wszystko jest okej.

TTLR

ROZDZIAŁ DWUNASTY

– Uroczystość zaślubin? Naszych?! Dlaczego? Oni przecież myślą, że już jesteśmy małżeństwem.

– Nie pamiętasz, że szaman obiecał nas uszanować, jeśli Belini wróci do zdrowia? Że wódz był niezadowolony, z braku wiana? No cóż, wioska chce nam w ten sposób podziękować – wyjaśnił.

Zupełnie mu to niepotrzebne. Nie dziś. Poród Belini wyczerpał go emocjonalnie. Widział tylko Vickie, która rozpaczliwie chwyta powietrze. Nie dla siebie, dla dziecka. Jeśli umrę, ono też umrze, powtarzała. Nie pozwól, żeby ono umarło. Zawiódł oboje. A Stevie o mały włos nie została świadkiem jego rozpaczy, gdy spoglądał na młodą matkę i noworodka. Oboje żywych. Nawet teraz był bliski załamania.

– Matt...

Otrząsnął się.

– Sądziłem, że miał na myśli podjęcie nas jak honorowych gości tradycyjną ucztą. Ale on widzi to inaczej, a wódz go popiera. Zwłaszcza teraz, bo nie chce narażać wnuka.

Uniosła wysoko brwi.

– Boi się, że szaman rzuci na chłopca jakąś klątwę?

– To nie jest wykluczone.

– Chyba nie wierzy...

– Wierzy, wierzy. – Matt się zawahał. – To jest ich życie, ich tradycja.

Zaryzykowałabyś, gdyby szło o twoje dziecko?

– Hm, chyba nie. Co teraz zrobimy?

– Możemy odpłynąć. Zaraz. Zajmie im kilka godzin, zanim się

zorientują.

– Ruszą za nami w pogoń?

– Wątpię.

Pokiwała głową.

– Czy będziemy mogli tu wrócić, jeżeli odmówimy udziału w tej uroczystości? Albo jak po cichu odpłyniemy?

Czy to dla niego ważne? Teraz nie, ale później, kiedy życie wróci do normy, a jego emocje opadną, może to okazać się istotne.

– Nie, chyba by mnie tu nie witano z otwartymi ramionami.

– Chciałeś powiedzieć „nas”.

– Słucham?

– Nas by tu nie witano z otwartymi ramionami.

Za nic w świecie. Stevie już tu z nim nie wróci.

– Okej, nas – skłamał.

– Stan Belini się poprawia, ale czy na tyle, że można ją zostawić bez opieki medycznej?

Przeciagnął dłonią po włosach. Nie chciał słuchać o Belini i jej dziecku.

– Stevie, informuję cię o planach szamana. Jak się na to zapatrujesz?

– Chcesz odpłynąć, tak? Nawet jeśli może się to źle odbić na zdrowiu Belini.

– Nie cieszy mnie perspektywa tej uroczystości. Udawanie, że jesteśmy małżeństwem, to jedno, a zaślubiny w dżungli to całkiem inna sprawa.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

Zły, że raz po raz Stevie odkrywa jego słabe punkty, podszedł bliżej.

– Tak. Chcę odpłynąć: I to zaraz.

Zamiast się odsunąć, dotknęła jego ręki.

– Z powodu dengi? Czy twojej żony?

Ogarnięty bezbrzeżnym smutkiem zapragnął porwać ją w ramiona, wtulić twarz we włosy i nie wypuszczać z objęć, dopóki koszmar przeszłości nie zblednie. Zacisnął pięści. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy.

– Z powodu mojej żony – odparł wbrew woli.

Uścisnęła mocniej jego rękę.

– Musiało ci być wczoraj bardzo ciężko... te wspomnienia...

– Była w ciąży. – Tym razem powiedział to świadomie. Stevie powinna o tym wiedzieć, na wypadek gdyby przegrał wewnętrzną walkę.

– W ciąży? Mówisz o Belini?

– Nie, o mojej żonie..

– Twoja żona była w ciąży, kiedy zachorowała na gorączkę krwotoczną?

Przytaknął. W ułamku sekundy puściła jego dłoń, po czym położyła mu ręce na ramionach.

– Matt... nie wiedziałam... Tak ci współczuję... – Spojrzała mu w twarz. – Wczoraj znalazłeś się w takiej samej sytuacji.

Wzruszył ramionami.

– Każdy z nas staje w obliczu sytuacji... niewygodnych.

– Niewygodnych? Nie myślisz, że to zasługuje na silniejsze określenie?

Tak myślał, ale nie zamierzał się do tego przyznać.

– Upłynęło dużo czasu – odparł.

– Ale to dalej boli. Nawet teraz.

– Było, minęło. – Odsunął się od niej.

– Czy aby na pewno? – Przygryzła wargę. – Uważam, że powinniśmy

wziąć udział w tej uroczystości, żebyśmy mogli być świadkami szczęśliwego zakończenia choroby Belini. Może by to pomogło... wielu sprawom.

Zmrużył oczy.

– Jeśli masz na myśli mnie, to daj sobie spokój. Nic mi nie jest.

– Matt, mówię poważnie. Zostańmy jeszcze kilka dni. Może to tylko ja muszę mieć pewność, że Belini odzyska zdrowie. Weźmy udział w tej uroczystości. – Tym razem to ona wzruszyła ramionami. – To nie jest oficjalny ślub. Będzie bez znaczenia poza wioską. Również dla nas.

– Chyba żartujesz.

– Nie. – Rzuciła mu promienny uśmiech. – Pobierzmy się.

Panna młoda nie wystąpiła w bieli, ale miała na sobie bluzkę. Sądząc po wyrazie ulgi na twarzy pana młodego, gdy ją zobaczył, on też przyjął z zadowoleniem, że wdzięki oblubienicy będą zakryte.

Gospodarze posadzili go na stołku pośrodku kręgu mężczyzn. Ubrany był w czarną koszulę ciasno opinającą muskularne ramiona. O rany...

Jej uwagę przyciągnęła smużka dymu. Gdy przyjrzała się lepiej, zobaczyła w jego rękach długą rurkę zanurzoną w miseczce. Jakaś fajka. Gdy stojąca za nią kobieta lekko pchnęła ją do przodu, Matt przekazał rurkę sąsiadowi, który pociągnął dwa razy, po czym podał rurkę dalej.

Zatrzymała się przed nim, nie bardzo wiedząc, czego się od niej oczekuje. Dodatkowo peszył ją przesadny makijaż oczu, do którego kobiety zużyły sporo jakiegoś czarnego proszku. Czowała się jak staroegipskie malowidło. Takich oczu pozazdrościłyby jej wszystkie szopy pracze w Stanach!

Zaniepokoiła się, gdy Matt na nią spojrział. Pociągnął ją za rękę tak, że jego usta znalazły się przy jej uchu, ale ona myślała raczej o tym, by dekolt

jej luźnej bluzki zbytnio się nie rozchylił. Nie miało to znaczenia, bo wszystkie otaczające ich kobiety były nagie od pasa w górę. Matt szepnął jej coś do ucha, więc skupiła się, by to zrozumieć.

– W fajce jest halucynogen. Nie wdychaj dymu.

Nie wdychaj dymu. Zamrugła. Chyba się przesłyszała, ale spojrzawszy mu w oczy, zorientowała się, że to prawda. Nie powiedział „wyglądasz zniewalająco” ani nie zapytał „jak się czujesz”, tylko przekazał jej wynik chłodnej medycznej analizy. Zaśmiała się. Wyprostowując się, zauważyła jego rozszerzone źrenice.

Niemożliwe, żeby był najarany. Uniosła pytająco brwi, a on odpowiedział po angielsku:

– Nie, nie jestem. Ale patrząc na twój strój, być może powinienem był się zaciągać. I to nie jeden raz.

Wprawdzie nie powiedział, że wygląda zniewalająco, ale na pewno zauważył spore fragmenty jej ciała. Uśmiechnęła się szerzej, niż należało.

– Mogło być gorzej.

Poprawił się na stołku.

– Wątpię.

Szaman kaszlnął znacząco za ich plecami, po czym gestem dał znak rozpoczęcia uroczystości. Ciężko chorzy zostali w szalasach, ale reszta mieszkańców wioski zebrała się, by na własne oczy uczestniczyć w tym obrzędzie, łącznie z Tiagiem i Nilsonem, którzy z uśmiechem od ucha do ucha trzymali się nieco z boku.

Oni chyba zdają sobie sprawę, że to farsa, pomyślała. A jeśli nie, to przy najbliższej okazji wyprowadzi ich z błędu. Nie ma sensu dłużej prowadzić tej gry.

Były tańce, ucztowanie i uroczyste przemowy, z których nic nie

rozumiała, ale bawiła się nieźle. Nawet udało się jej siedzieć przy ręcznie wyrzeźbionym stole obok Matta, nie zdradzając, jak bardzo jest przejęta jego bliskością. Szło jej łatwiej, niż się spodziewała. Nikt nie kazał jej przysięgać, że będzie Matta kochała, szanowała i będzie mu posłuszna. Całe szczęście, bo na pewno by takiej przysięgi nie dotrzymała. Odetchnęła z ulgą.

W pewnej chwili zauważyła dziewczynę, która podeszła, niosąc niczym tacę liść bananowca, a na nim kawałek szmatki, korek i długą cienką igłę z przewleczonym kawałkiem czarnego szpagatu. Czarny koralik na jego końcu złowieszczo migotał w blasku ogniska. Wstrzymała oddech. Jeśli się nie myli, to korek oraz igła...

Uszy już miała przekłute, więc w najgorszym razie przewleką ten sznureczek z koralikiem przez już istniejącą dziurkę, nie? Nie! Czy ta igła jest sterylna? Matt dotknął jej ręki.

- Spokojnie, to nie dla ciebie.
- Dzięki Bogu.

Rozejrzawszy się, zauważyła, że żadna z kobiet nie ma przekłutych uszu. To dla kogo ta igła?

Mężczyźni...

Przyjrzała się każdemu z osobna: każdy powyżej trzynastego roku życia miał co najmniej jedno przekłute ucho. Może połączyli dwie uroczystości? Szukała wzrokiem chłopca poddawanego rytuałowi przejścia.

Dziewczyna zatrzymała się przed Mattem i wówczas podszedł do niej szaman. Stevie wstrzymała oddech. Mają zamiar przekłuwać ucho jemu?!

- Matt, co oni robią?
- Tylko dojrzały mężczyzna może dostąpić rytuału zaślubin.
- Nie rozumiem.

– Na pewno?

Powoli to do niej docierało.

– To idiotyzm. Każdy przy zdrowych zmysłach widzi, że jesteś mężczyzną. – Zaczerwieniła się zawstydzona. – Masz zarośniętą klatę... i w ogóle.

Jego wargi drgnęły.

– Dzięki. Mam nadzieję.

– To absurd. Chyba nie pozwolisz im przekłuć sobie ucha.

– Nie mogę się ożenić, dopóki nie zostanę naznaczony jako mężczyzna. – Uśmiechnął się tak, że przeszył ją dreszcz. – To ty chciałaś wziąć w tym udział.

– Ale nie wiedziałam, że będą ci dziurawić uszy.

– Zagoi się.

– Nie bądź taki chojrak. A jak ta igła nie jest sterylna?

– Jest, jest... Rano osobiście ją sterylizowałem w autoklawie na statku.

Wszystko przez to, że się uparła, by zostali. Powinna była pozwolić mu uciec, gdy jeszcze miał na to szansę.

Gdy szaman kazał mu wstać, Stevie zerwała się ze stołka.

– Przekłujcie ucho mnie zamiast jemu – powiedziała po portugalsku.

Chwila konsternacji, po czym wybuch gromkiego śmiechu w kręgu mężczyzn. Nawet niewzruszony zazwyczaj szaman się uśmiechnął.

Stevie nie widziała w tym nic śmiesznego.

– Oni myślą, że chcesz rządzić w tym małżeństwie. Że chcesz w naszym związku nosić spodnie.

Poczerwieniała jak burak.

– Ja tylko chciałam pomóc... – bąknęła.

Uśmiechnął się.

– Wierz mi, wcale nie pomagasz. Za to pięknie się rumienisz. –
Pogładził ją po policzku. – Mnie się to podoba.

– Z wysoko podniesioną głową zwrócił się do swoich towarzyszy: –
Rola mężczyzny należy do mnie i tylko do mnie. Będę się opiekował swoją
żoną.

Nie uznała tego zapewnienia za obraźliwe, bo wiedziała, czego od
niego oczekują. Bardziej zaniepokoiła ją reakcja jej serca na te słowa.

To tylko słowa. On wcale tak nie myśli.

Gdy szaman podał Mattowi szmatkę zwilżoną spirytusem, ten przetarł
nią ucho. Robi to dla niej. Nie, robi to, żeby dalej tu pracować. Stevie, za
dużo sobie wyobrażasz. Ten facet nie jest do wzięcia.

Podobnie jak ty.

Szaman sięgnął po igłę oraz korek. Niemożliwe, że to dzieje się
naprawdę. Matt przechylił głowę. Dopiero wtedy zauważyła czarną kropkę,
którą zapewne zrobiono wcześniej, przed uroczystością. A to oznacza, że
Matt od początku wiedział, co go czeka. Niewątpliwie niejednym raz widział
ten rytuał. Czy to dlatego chciał, by opuścili wioskę?

Niewykluczone, że wmanewrowała go w sytuację, której sobie nie
życzył. Bo nie wyglądał na faceta, który by dobrowolnie nosił kolczyk.
Bezwiednie chwyciła go za rękę, by czuł, że jest z nim. Gdy szaman wbił
mu igłę, nawet się nie skrzywił.

– Matt, przepraszam, nie miałam pojęcia, że to tak będzie wyglądało –
mówiła, ponownie dezynfekując ranę, gdy paciorek znalazł się tuż przy
jego uchu.

– Przez co ja muszę przechodzić, żeby się z tobą ożenić – westchnął.

Potem szaman trzy razy dotknął jego głowy liściem palmy, a następnie
spojrzeniem nakazał jej pochylić głowę, by ten symboliczny gest powtórzyć.

Wybuchła radosna wrzawa. Kobiety puściły się w tan, fajka ponownie poszła w ruch. Koniec ceremonii.

Dla członków tego plemienia stali się małżeństwem.

Na dobre i na złe.

Gdy krzyząc radośnie mężczyźni odciągnęli Matta w mrok, poczuła, że sprawy mają się raczej ku gorszemu. Tiago tak mocno huknął w plecy niższego od siebie Nilsona, że ten aż się zatoczył, po czym obaj wybuchnęli śmiechem i razem pognali za mężczyznami zapewne już mocno odurzonymi dymem z tej dużej fajki.

Hm, Matt miał bardzo rozszerzone źrenice. Z drugiej jednak strony przyczyną mogła być jej bliskość, gdy szaman wygłaszał słowa przysięgi. Sama miała sporo obaw.

Szła ku niej kobieta z naręczem fioletowego kwiecica. Stevie próbowała się uśmiechnąć, ale przeszkadzał jej w tym coraz mocniejszy skurcz żołądka.

– To wam pomoże w waszym małżeńskim łóżu – oznajmiła kobieta. Wokół rozległ się tłumiony chichot.

– W naszym... łóżu?

Boże, spraw, żeby nikt nie udzielał mi rad, co mam robić w noc poślubną.

– Tak. Te kwiaty usuwają skutki *ayahuasca*.

– *Aya... co?*

Znowu śmiech.

– To jest to, co się pali w fajce *cachimba*. Pod jej wpływem mężczyzna nie jest w stanie... wykonywać swojej powinności.

O Boże. Co powiedzieć? Bez słowa przyjęła kwiaty, które miały jej małżonka przeistoczyć z faceta oszołomionego jakimś ziołem w kochanka

wszech czasów. Powiedział, że się nie zaciąga. A jeżeli te kwiaty zawierają jakiś afrodyzjak?! Na samą tę myśl poczuła, że jakieś mrowienie rozkoszną falą popłynęło z palców ku ramionom.

Przestań! To tylko twoja wyobraźnia. A jeżeli to jest nie tylko w głowie? Matt powiedział, że w fajce jest halucynogen. A co kryje się w tych kwiatach?

– Zrobi mi się niedobrze?

Kobieta uśmiechnęła się tajemniczo.

– Nie, sprawią, że będziesz szczęśliwa. Niewyobrażalnie szczęśliwa.

Mrowienie powoli spływało z piersi na brzuch i jeszcze niżej. Rozprostowała palce, upuszczając wiązanekę na ziemię.

Kobieta zebrała kwiaty, by znowu jej podać. Stevie rozpaczliwie szukała pretekstu, by ich nie dotknąć.

– Ja...

– Ona jest nieśmiała – wyjaśniła kobieta swoim towarzyszkom. – Nie szkodzi, *doutora*. Położę je na waszym łóżku.

– Dziękuję – wykrztusiła Stevie. Niech myślą, że czuje się skrepowana. To lepsze, niżby miały poznać prawdę. Nagle wyobraziła sobie, że leży na tych zmysłowych płatkach. Naga. I czeka na Matta. Zdolnego do spełnienia swoich obowiązków lub nie.

Oddaliła się pod pretekstem, że musi zajrzeć do Belini i noworodka. Oboje spali pod czujnym okiem matki dziewczyny. Teraz już rozumiała, dlaczego na początku Mattowi było obojętne, czy dziecko przeżyje. Włączył się mechanizm obronny mający mu pomóc pogodzić się z rodzinną tragedią sprzed lat.

Przyłożyła dłoń do czoła dziewczyny. Chłodne i suche. Piecki noworodka? Też chłodne. Oddech wolny i miarowy. Jakby wyczuwając jej

obecność, Belini uniosła powieki.

– Mały zdrowy? – spytała zaniepokojona.

– Tak, zdrowy. – Stevie przyklękła obok pryczy. – Jak się czujesz?

– Lepiej. Jestem słaba, ale już mi lepiej.

– To normalne, musisz jednak dużo odpoczywać.

Nagle odezwała się matka.

– Ja jej pomogę.

– To bardzo dobrze. – Całkiem nieoczekiwanie Stevie zateśkniła za swoją matką. – Chciałam tylko sprawdzić, jak się czujecie. Śpij już, śpij.

Belini kiwnęła głową.

– Dziękuję, dziękuję wam za wszystko.

Wychodząc z szałasów, zderzyła się z Mattem. Byłaby upadła, gdyby jej nie przytrzymał.

– Szukałem cię.

– Tak? – Zadrżała, czując jego dłoń na karku.

– Uhm. Mam pytanie.

– Py... pytanie? – Potrafi odpowiedzieć tak, żeby się nie zbłąźnić? –

Osobiste?

– Owszem, bardzo. – Oparł brodę na jej głowie, a pod nią aż nogi się ugięły.

– Słucham.

– Te płatki kwiatów w naszym szałasie... Kto je rozsypał na łóżku? Ty czy ktoś inny?

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Dlaczego ją zapytał o kwiaty? Chyba nawdychał się *ayahuasca* więcej, niż mu się wydawało, ale wchodząc do szałasów nowożeńców, nie spodziewał się niczego nadzwyczajnego, więc gdy ujrzał różnej wysokości ławy uginające się pod koszami owoców i placków, poczuł, że krew tężeje mu w żyłach. Ofiara dla bogów? Czy prezenty dla młodej pary?

W głębi setki świec wokół nieskazitelnie białego hamaka z frędzlami do samej ziemi.

I te płatki. Wszędzie.

Nagle zateśknął za nocą i kobietą.

Ale Stevie wyraźnie nie wiedziała, co powiedzieć.

– To... nie ja. Myślę, że to te kobiety.

Otrząsnął się. Miał nadzieję... Nie, na nic nie liczył. Stevie, czerwona jak burak, unikała jego wzroku.

– Chyba ani ty, ani ja nie powinniśmy ich dotykać.

– Czego? Kogo? Tych kobiet? – Nie miał pojęcia, o czym ona mówi. Ta noc nie skończy się dobrze.

– Nie, tych kwiatów – wyjaśniła ze wzrokiem wbitym w ziemię. – Podejrzewam, że są czymś doprawione.

– Co?! – Nie dowierzał własnym uszom.

– Że są czymś doprawione. Jakimś narkotykiem. Jak ta fajka.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

Stevie zaczerwieniła się jeszcze bardziej.

– Ja nie wiem, jak one działają... – Zawahała się, po czym wykrztusiła: – Kobiety powiedziały, że one osłabiają fajkę.

– *Ayahuasca*? – Kiwnęła głową. – To znaczy, że gdybym był pod jej

wpływem, a nie jestem – aczkolwiek zaczynał mieć w tej kwestii poważne wątpliwości – to te kwiaty w czym miałyby mi pomóc?

Nagle doznał olśnienia. Jeszcze kilka machów i padłby. W swoją noc poślubną.

Absurdalność tej sytuacji – te zaślubiny, kolczyk w uchu, *ayahuasca*, afrodyzjak na hamaku – nieoczekiwanie i niestosownie go rozbawiła.

– Co cię tak rozśmieszyło? – obruszyła się Stevie.

Z niejakim trudem opanował się i uznał, że należy nieco rozładować atmosferę.

– Na pewno ich nie dotykałaś? Może zbadam ci tętno?

– Przestań. – Oburzona cofnęła się.

Dopiero teraz zrozumiał, co ją tak zawstydziło i dlaczego jest czerwona. Dotknęła kwiatów i jest pod ich wpływem. Jako lekarz powinien ją zbadać. Oczywiście.

– Stevie, spokojnie, nic się nie stało.

– Jasne. – Po raz pierwszy spojrzała mu w oczy. – Ale musimy je usunąć z szałas. Na wszelki wypadek.

– Z hamaka zmieciemy je jakimś liściem na ziemię – powiedział ze śmiertelną powagą. – To wystarczy.

Nie spodobał mu się pomysł wspólnej nocy w szałasie, zwłaszcza z zaprawionymi czymś kwiatami.

Pał licho kwiaty, noc z nią to jak spacer po rozżarzonych węglach. Bolesny. Nie tylko dla stóp.

Kilka godzin później, nie mogąc zasnąć, wsłuchiwał się w odgłosy dżungli.

Jeśli istnieje piekło, to nie jest tam gorzej niż tutaj. Mimo że jej nie dotykał, czuł pod palcami delikatność jej skóry, nozdrza miał pełne jej

zapachu, oczami duszy widział coraz większą tęsknotę w jej spojrzeniu...

Żałosna chuć żalosego samotnego faceta, który powinien zajmować się czymś innym. Na przykład pacjentami. Tak, zajrzy do nich, a potem uda się na statek i tam spędzi resztę nocy, na hamaku.

Podniósł się z ziemi. Odgarniając włosy z czoła, nadgarstkiem dotknął czegoś twardego. Koralika w uchu. Dowód, że osiągnął wiek męski. Co za absurd.

W tym momencie Stevie drgnęła, jakby to ją ukłuto. To poruszyło go głęboko. Dotknął miejsca, którego nikt nie dotykał od czasu... Vickie.

Zacisnął powieki, czując, że jest niebezpiecznie blisko linii, której przysiągł sobie nie przekroczyć. Usłyszał cichy głos Vickie. Prosiła, by zwolnił się z tej przysięgi, że już czas. Nie, tu nie chodzi tylko o przysięgę, ale o życie. O takie wybory, które drugiej osoby nie narażają na ryzyko. Będzie dalej trzymał się swoich zasad. Jest sam od śmierci żony i jeśli w dalszym ciągu chce pomagać chorym, tego nie zmieni.

Już na statku zasiadł nad rozdziałem poświęconym gorączce krwotocznej w podręczniku Mansona. Przez łzy czytał notatki żony. Gdy dobrnął do końca, głos Vickie nie ucichł. Przypominał mu, że ma teraz nową żonę i że nie wolno mu zmarnować szansy.

– Obudź się, śpiochu. Pora wstawać.

Chyba jeszcze nie świta, pomyślała. Nie zmrużyła oka przez pół nocy, czekając, aż on wróci. Ale nie wrócił.

Dopiero teraz. Zapach jego mydła mieszał się z aromatem ognisk, na których przygotowywano poranną stawę. Usiadła, przegarniając włosy, by związać je w węzeł, po czym poprosiła, by wyszedł, bo chce umyć twarz i zęby. Ale on przykucnął obok.

– Jak ci się spało? – zapytał.

Jej wzrok padł na porozrzucane płatki kwiatów. Pora skłamać.

– Świetnie, a tobie?

– Znośnie.

Aha, oboje ciągną tę farsę, bo Matt wcale nie spędził nocy w szałasie. Chyba że w czyimś.

Jak zdążyła się zorientować, w każdej wiosce miał kobietę chętną zaspokoić wszystkie jego potrzeby. Podobnie jak jej były narzeczoney.

Dałaby sobie głowę uciąć, że Matt jest inny niż Michael. Lojalny. Chciał ją pocałować, gdy wieczorem stali przed szałasem Belini, ale przez jej niewyparzony język nastrój prysł. To chyba dobrze.

Zastanawiała się, co powiedzieć, ale ją ubiegł.

– Belini ma się coraz lepiej. Reszta chorych też. Sądzę, że za dzień, dwa będziemy mogli odpłynąć.

– Uważasz, że najgorsze za nimi?

– Mam nadzieję.

– Oby tak było. – Spojrzała na jego kolczyk. – A propos najgorszego, które minęło, jak twoje ucho?

– W porządku. Rano ponownie je zdezynfekowałem... – Nieoczekiwanie chwycił ją za nadgarstek. – Nie ruszaj się.

– W skupieniu oglądał jej przedramię.

Nie miała pojęcia dlaczego, ale jego dotyk sprawiał jej przyjemność. Wytarzał się w tych kwiatach, jak nie patrzyła? Jeśli nawet, to nie będzie protestowała.

– Cholera... – mruknął.

– Matt, o co chodzi? – spytała zawiedziona, bo przestał wodzić palcem po jej rękę, a nie mogła zobaczyć, co go tak zdenerwowało.

Zobaczyła to, gdy się wyprostował. Miejsce uządlenia przez komara.

Zdętwiała z przerażenia, tym bardziej że znalazła się w wiosce ludzi chorych na dengę.

TTLR

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Wkrótce stali na pokładzie statku.

- Nawet nie wiemy, jaki to był komar.
- Nie szkodzi. Odpływamy. I to zaraz.
- Matt, zastanów się. Szpital nic mi nie da, dopóki nie mam objawów.

Nawet jeżeli ten komar był nosicielem, czas inkubacji to nawet dwa tygodnie. Przez ten czas możemy spokojnie zajmować się chorymi w tej wiosce.

- Średni czas inkubacji to cztery do ośmiu dni.
- To sporo czasu. Zrobię wszystko, żeby nikogo nie zarazić.
- Inni mnie nie obchodzą – warknął, po czym spiorunował ją wzrokiem. – Dlaczego nie wysmarowałaś się środkiem odstraszającym?
- Wysmarowałam się! Na pewno za dnia, ale go nie lubię, bo się lepi i brzydko pachnie w nocy. Poza tym spałam pod moskitierą.
- Ale zostawiłaś w niej szparę. Musiałem ją zaciągnąć, wychodząc do pacjentów.

Czepia się.

- Dopiero wtedy ją zobaczyłam.
- Nie spałaś?
- Nie.
- To dlaczego nic nie powiedziałaś?

Wzruszyła ramionami.

- A co miałam powiedzieć?

Obydwoje nie znali odpowiedzi na tak postawione pytanie.

- Należało odpłynąć, jak szaman zaczął nam grozić’ Albo jak już było

wiadomo, że Belini przeżyje. To błąd, że się zdecydowaliśmy na tę wczorajszą uroczystość.

– Nie mieliśmy wyboru. Belini mogła umrzeć przy porodzie, dziecko mogło umrzeć...

Znowu zaklął cicho.

– Czy zdajesz sobie sprawę, co może się stać, jak złapiesz dengę?

– Tak. – Położyła mu rękę na ramieniu. – Ja tego nie lekceważę. Wiem, czym to się może skończyć.

– Ja również.

– Matt... Bardzo mi przykro, że przeze mnie wróciły do ciebie złe wspomnienia, ale ja muszę tu zostać – powiedziała z naciskiem. – Jeszcze kilka dni. Proszę, pozwól mi to doprowadzić do końca.

Przyglądał się jej przez chwilę, po czym zajął się zakładaniem opatrunku z maści z antybiotykiem i wodoszczelnego bandaża.

– Nie podoba mi się to.

– Obiecuję, że odpłyniemy, jak tylko ostatni nasz pacjent poczuje się lepiej.

– To wszystko po to, żeby... – Nieoczekiwanie jego ręka znalazła się na jej karku. – Muszę cię przeprosić.

– Za co?

– Wtedy, na lotnisku, pomyślałem, że jesteś kolejnym lekarzem, który ucieka od szpitalnej rutyny, że zachciało ci się przygód albo chcesz coś komuś udowodnić. Ale ty nie jesteś znudzonym medykiem. – Przyciągnął bliżej jej głowę. – Jesteś prawdziwym skarbem. Dobro innych leży ci na sercu bardziej niż własne.

Zrobiło jej się głupio. Kierowała się wyłącznie egoizmem. Bo czyż nie jest egoizmem zgłoszenie się do pracy, by uwolnić się od niewiernego

narzeczonego? By uciec ze szpitala, w którym cię nie chcą?

Ale już zdążyła pokochać mieszkańców amazońskich wiosek. Nawet nie wiedziała, że właśnie tego jej brakowało.

– Nie jestem aż taka szlachetna, jak myślisz.

– A kto jest? – Zniżył głos. – Jak zobaczyłem ten ślad użądlenia...

– Tak, wiem.

Znalazł się tak blisko, że... Nim się zorientowała, wargami musnęła jego wargi. Drgnął, ale się nie odsunął, a po chwili ujął jej twarz w dłonie.

– Mm... – wyrwało się jej. Jak słodko.

O tak, ten facet potrafi się znaleźć w każdej sytuacji. Dłoń spoczywająca na jej plecach przyciągnęła ją mocniej, uniemożliwiając ucieczkę. Ale nawet jej to w głowie nie powstało. Opierając dłonie na jego piersi, walczyła, by nie stracić równowagi z powodu targających nią emocji. Jeden fałszywy krok, a runie w przepaść. Czy to ważne?

Raczej oszałamiające.

Nawet Michael tak nie całował. Nagle Matt znieruchomiał z wargami na jej obojczyku.

Nie! Nie teraz, kiedy ona chce jednego: żeby tu, na pokładzie, dokończył to, co zaczął.

To, co ona zaczęła.

– Nic tu nie mam – wyszeptał.

– Nic? – O czym on mówi?

– Prezerwatyw. Te w apteczce są tu od dawna. Nie mam do nich zaufania.

– O, a pakiety dla tubylców?

– Wszystkie rozdane. Dwa dni temu Tiago wydał ostatnie sztuki. Jesteś na pigułce?

Wybierając się tu, nie myślała o seksie, zwłaszcza że była przekonana, że będzie pracowała z Tracy. Wozić się z zapasem pigułek na dwa lata?

– Nie.

– Boże... Przepraszam.

Za co? Że nie ma prezerwatyw? Że musi przestać?

– Nie szkodzi – wykrztusiła.

Opuścił ramiona.

– Jasne, nie szkodzi.

– Pracujemy w dużym stresie... epidemia... zaślubiny...

– Potarła zabandażowaną rękę. – Nie myśleliśmy racjonalnie.

– Ale teraz już oprzytomnieliśmy.

Przeniosła na niego wzrok. Może on, ale ona niekoniecznie.

– Oczywiście.

Odwrócił się od niej i zapatrzył na Rio Preto.

– Masz cztery dni. Potem odpływamy. – Ani śladu wewnętrznego zamętu, z którym ona nadal się borykała.

Cztery dni później u Stevie nie wystąpiły żadne objawy, ani też nikt nowy w wiosce nie zachorował. Epidemia wygasła. Udało jej się nawet namówić Matta, by popłynęli do następnej wioski, jakby miała pewność, że denga jej nie grozi. Ani denga, ani on.

Spodziewał się, że zechce wrócić do Coari na badania do szpitala. Mógłby wtedy skoczyć do apteki. Na wszelki wypadek, mimo że Stevie zdawała się odporna na pokusy. Na niego.

Na samą tę myśl zazgrzytał zębami.

– Mateus, co jest grane? – Za plecami usłyszał głos Tiaga.

– Wszystko w porządku.

– To dlaczego śpisz w jadalni? Posprzeczałeś się ze Stevie?

– Nie. – Kto wpadł na ten piekielny pomysł? Powinien wyjaśnić załodze, że ten ślub to fikcja, ale się bał, że informacja wróci do wioski. Nie chciał obrazić wodza.

– To dlaczego? – drażył Tiago.

– Muszę być skoncentrowany, zwłaszcza teraz.

– Aha... Ona jest piękna, prawda?

– Owszem. Podobnie jak twoja żona – warknął w odpowiedzi.

– Mateus, nie chciałem cię obrazić. – Nic nie wskazywało, by Tiago był zainteresowany Stevie. Matt poczuł się jak skończony dureń.

– Wcale mnie nie obraziłeś. Po prostu się martwię.

– Uznał za konieczne wyjawić powód zmartwienia. – W wiosce uządlił ją komar.

– Komar? Myślisz, że może zachorować?

– Nie.

Tiago jednak wyczuł w jego głosie brak przekonania, bo przeżegnał się znakiem krzyża.

– Pan Bóg na pewno nie zamierza zabierać ci dwóch...

– Ugryzł się w język, ale za późno.

Właśnie dlatego powinni zawrócić do Coari. Ale obiecał Stevie, że uszanuje jej decyzję.

Tak jak decyzję Vickie?

Ona nie jest twoją prawdziwą żoną. Pracujecie razem, nic więcej. Jego dłoń dotknęła koralika w uchu.

– Ona nie zachoruje. Nie trać wiary. – Tiago dotknął jego ramienia.

Nie trać wiary.

Ha! Ale wiara już raz go zawiodła.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

– Już ci powiedziałam, że nie wyjadę. Nie pamiętasz, że podpisałam umowę na dwa lata?

– Tak będzie najprościej. Nawet jak wrócisz do Stanów, ludzie w Tupari nadal będą uważali, że jesteśmy małżeństwem.

Podniosła wzrok do nieba.

– Wystarczy powiedzieć im prawdę.

Miejsce uządlenia komara zbladło, a upłynęło już jedenaście dni. Jeszcze trzy, cztery i będą mieli pewność, że nic jej nie zagraża. Jeśli chodzi o dengę.

– Nie chcę, żeby Tiago albo Nilson coś chlapnęli we wsi, bo wódz ani szaman łatwo kłamstwa nie przełkną.

– Zdaję sobie sprawę, jak ci z tym niewygodnie – zauważyła, wstając, by mu pokazać, że się go nie boi.

Przyjmowali pacjentów na polanie wielkości boiska, podczas gdy Tiago wraz z Nilsonem szorowali pokład *Projeto Vida*. Nieopodal grupa kobiet przygotowywała posiłek i tylko one były świadkami tej wymiany zdań. Zresztą po angielsku.

– Matt, możemy o tym porozmawiać kiedy indziej?

W tej samej chwili podbiegła do nich kobieta z noworodkiem na rękach. Dziecko nie chciało ssać i nie miało wypróżnienia. Po zbadaniu go Stevie orzekła, że to zaparcie.

– Podejrzewam, że wystarczy lewatywa.

– Okej.

Jak to? Tak po prostu? Nawet nie zaprotestował?

– Możemy zabrać ją na statek? Możesz iść z nami – zwróciła się do matki.

– Nie zrobicie jej krzywdy?

– Na pewno nie. Jestem przekonana, że bardzo szybko wyzdrowieje. Stało się to szybciej, niż przypuszczała. Ciepła lewatywa błyskawicznie zrobiła swoje.

– Dzięki Bogu – szepnęła.

– Miałaś rację – pochwalił ją Matt, po czym zaraz wyszedł z gabinetu. Pochyliła się nad maleństwem.

– Będziesz zdrowa. Rośnij duża i silna, dobrze?

Dziewczynka zapłakała, ale tym razem nie z bólu, lecz z głodu, więc matka przystawiła ją do piersi.

– Ssie. – Kobieta przeniosła wzrok na Stevie. – Gdyby nie ty...

– Tiago odwiezie was na brzeg, ale jutro chciałabym ją obejrzeć jeszcze raz, więc mnie odszukaj, dobrze?

Kobieta pokiwała głową.

Gdy tylko łódka odbiła od statku, Stevie ruszyła na poszukiwanie Matta. Zastała go w aneksie jadalnym. Rozwiesił już hamak, ale nadal był ubrany. Gdy podniósł na nią wzrok, struchlała. Boże, jak on cierpi.

– Matt, co ci jest? Kręgosłup?

– Nic mi nie jest.

Dopiero wtedy zobaczyła leżący przed nim otwarty podręcznik medycyny tropikalnej.

– Och, Matt... przestań się tak katować.

– To moja praca. – Wzruszył ramionami.

– Ale mnie chcesz odesłać do domu, uniemożliwiając mi wykonywanie mojej pracy. – Gestem wskazała na podręcznik. – Już

rozumiem... Wspomnienie tego koszmaru ułatwia ci wymuszenie na mnie rezygnacji. – Spojrzała mu w twarz. – Czy do ciebie nie dociera, jak cennym jestem nabytkiem? W tych wioskach są kobiety, którym może być łatwiej rozmawiać o problemach zdrowotnych właśnie z kobietą.

– Owszem, ale...

– Żadne ale. Oboje wiemy, że mam rację. Przekonaj mnie, że jest inaczej.

– Nie mam zastrzeżeń do twoich kwalifikacji. Wykazałaś się nie raz i nie dwa. Ale coś się stało... Nie chcę brać na siebie odpowiedzialności.

– Coś się stało? Mnie?

Przytaknęła. Położyła mu rękę na ramieniu.

– Matt, to nie twoja wina, że twoja żona nie żyje. To było okropne, ale to ona zdecydowała, że chce być tutaj. Z tobą. Sama tego chciała.

– Zostaw moją żonę w spokoju.

– Matt, ktoś musi otworzyć ci oczy. – Przeciągnęła palcami po jego karku. – Czy ten ból pojawił się po jej śmierci?

– Nie twoja sprawa. – Odtrącił jej rękę.

– Chcesz się mnie pozbyć z powodu tego, co spotkało twoją żonę, więc to również moja sprawa.

– Nie!

Jakie ona ma prawo pomniejszać jego tragedię? Żadne.

Ale całym sercem pragnęła złagodzić jego ból, by spoglądając na nią, nie widział potencjalnego dramatu, lecz potencjalną...

O Boże, co jej strzeliło do głowy?

Zgłupiała, myśląc, że to się zmieni? Dopiero co wykaraskała się z jednego toksycznego związku, a już chce się zaangażować w równie ryzykowny, skazany na porażkę? Nie. Tak.

– Stevie... Nie mam pojęcia, dlaczego to powiedziałem. Masz rację, to nie twoja wina. I nie dlatego szukam zastępstwa.

– Więc dlaczego go szukasz?

Pogładził ją po głowie.

– Lepiej, żebyś nie wiedziała.

– Może ta wiedza pomogłaby mi zmienić twoje nastawienie.

– Tak, tak by było. I tego się boję.

– Nie rozumiem, czego masz się bać.

Pokręcił głową.

– Nie powiem.

– To mi pokaż. Pomóż mi zrozumieć. – Pogładziła go po policzku.

– Stevie, lepiej odejdz, zanim zrobię coś, czego oboje będziemy żalowali.

– Jesteś pewien, że oboje?

– Ty nie?

– A ty?

– Skoro żadne z nas tego nie pożałuje...

– Nie tutaj – wyszeptał tuż przy jej wargach. Wziął ją za rękę i zaprowadził do kabiny. Oparła się o ścianę. Boże, żeby tym razem się nie rozmyślił.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Stał na pokładzie zapatrzonej w mroczne wody rzeki. Nadszedł czas decyzji. Musi zrobić jedną z dwóch rzeczy: albo kupić prezerwatywy, by już nie czuć przymusu wyobrażania sobie, jak by to było zatracić się w Stevie, albo odesłać ją do domu.

Jak na zawołanie zjawiała się na pokładzie.

– Jak się masz?

– Okej. Przepraszam za wczoraj...

– Daj spokój, nie przepraszaj. – Odrzuciła włosy na plecy. – Oboje jesteśmy dorośli i oboje tego chcieliśmy.

Ha! Chciałby o wiele więcej. I dlatego, nie mając do siebie zaufania, tego samego poranka zdecydował się zawrócić do Coari. Zanim zrobi coś, czego by potem żałował. Stevie popatrzyła na rzekę.

– Matt, chyba płyniemy w złym kierunku? Byłam pewna, że... cię przekonałam, że powinieneś mnie zatrzymać. Przynajmniej na jakiś czas.

– Nie mamy już ani jednego pakietu sanitarnego i musimy te braki uzupełnić.

– A noworodek? Obiecałam go obejrzeć.

– Rozmawiałem z Tiagiem po tym, jak odwiózł je na brzeg. W drodze maluch zrobił drugą kupkę.

– Bardzo mnie to cieszy. – Zawahała się. – Skoro wracamy, to może byśmy się zatrzymali w Tupari? Chciałabym zerknąć na Belini.

– Na pewno wszystko jest w porządku. Mogę przez radiotelefon zapytać Tracy, czy ma wiadomości z Tupari.

Ściągnęła brwi.

– Chyba możemy się zatrzymać na kilka godzin. Tupari jeszcze nie minęliśmy, prawda?

Jeszcze nie minęli, ale nie chciał tam zawijać z obawy, że epidemia do końca nie wygasła. Tym razem się jej udało. Ale następnym?

Odeślij ją do domu, pomyślał zirytowany. Jeżeli nie potrafi oddzielić serca od rozumu, to powinien się zdobyć na męską decyzję, bo dłużej nie da się żyć w paralizującym strachu. Jeżeli oznacza to, że nigdy nie będzie w stanie pracować z kobietą, to powinien postawić sprawę jasno: jeśli Tracy znowu przydzielili mu kobietę, wypisze się z *Projeto Vida*.

– O czym myślisz?

– Ile nam zajmie czasu dotarcie do miasta.

Delikatnie dotknęła jego ramienia.

– Matt, proszę, nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdybyśmy minęli Tupari, a tam by się działo coś niedobrego.

Tyle wątpliwości... Na szczęście, tym razem był w stanie zrobić coś więcej, niż się nimi zadreczać.

– Dobrze, zatrzymamy się na godzinę albo dwie.

– Dziękuję. – Pocałowała go lekko w policzek. – Nie będziesz żałował.

– Przed chwilą dzwonił Tiago. – Usłyszeli za plecami głos Nilsona. – Pyta, kiedy po niego przybędziesz.

– Po Tiaga? – zdumiała się. – Chyba powiedziałeś, że wieczorem przybędę na statek.

– Ale o świcie wrócił do wioski. To jego plemię, ma tam żonę i dzieci.

– O, nie wiedziałam... – Przechyliła głowę. – Dlaczego mnie nie obudziłeś?

– Było jeszcze ciemno. – Matt zwrócił się do Nilsona. – Powiedz mu,

że jeszcze nie wiem, ale zawiadomię go kilka dni wcześniej. Dostanie pełną zapłatę.

Nilson, wyraźnie zdezorientowany, wzruszył ramionami, ale posłusznie zawrócił na mostek.

Gdy zniknął im z oczu, Stevie oparła się o reling i spojrzała Mattowi w oczy.

– Słucham.

– Co chcesz usłyszeć?

– Nie nocowałeś w kabinie, a teraz dowiaduję się, że Tiago zszedł na ląd. Nawet nie mogłam się z nim pożegnać. Na dodatek wracamy do Coari.

– Zmrużyła oczy. – Aha... uciekasz... Z powodu tego, co się między nami wydarzyło.

– Muszę uzupełnić zapasy – powtórzył. – Również prezerwatyw. Nie przyszło ci do głowy, co mogło się stać? Gdybyś tylko słówkiem zasugerowała, żebyśmy... nic by mnie nie powstrzymało.

– Ale niczego nie zaproponowałam.

– Nie ó to chodzi. Przy tobie tracę do siebie zaufanie.

– Zabawne, bo pamiętam, że kiedyś mnie zapytałeś, czy ja ci ufam. Odpowiedziałam, że tak. I od tamtej pory nic się zmieniło.

Roześmiał się złowieszczo.

– Nie wiesz, że jeśli chodzi o seks, to facet jest zdolny powiedzieć wszystko?

– Ale nie ty. Ty dotrzymałeś słowa. – Dotknęła jego ucha. – Facet, który to zrobił, żeby ratować życie ciężarnej, nie kręci. Taki facet dotrzymuje słowa, nie zważając, ile go to kosztuje.

Pokręcił głową.

– Nie jestem aż taki szlachetny. – Wsunął palce w jej włosy. –

Pragnąłem cię wczoraj i to dostałem.

– Matt, ja też tego chciałam. Nie mów, że nie miałam nic do powiedzenia.

– To się nie powinno wydarzyć.

– Ale się wydarzyło. – Odwróciła głowę, by nie widział jej twarzy. – I podobało mi się, pamiętasz?

Jak mógłby zapomnieć? Nie zapomni do końca życia ani jednej sekundy. Hm, wobec tego po co zmuszać ją do wyjazdu, skoro to nic nie zmieni?

Uśmiechnął się. Jego serce podjęło decyzję mimo pewnych oporów ze strony umysłu.

– Potrzebujemy prezerwatyw na wypadek, gdyby się to powtórzyło.

Stevie się roześmiała.

– Czy to dlatego tak się spieszymy do Coari?

– Już mówiłem, nie mamy pakietów.

– Aha, pakiety. I prezerwatywy. – Zarzuciła mu ręce na szyję. – Już się bałam, że chcesz się mnie pozbyć. Cieszę się, że tak nie jest.

Musnął wargami jej policzek.

– Nie wywołujmy wilka z lasu, dopóki nie znajdziemy się w mieście i nie rozwiążemy tego problemu.

– Ty tu rządzisz. – Zamrugła. – Ale ja w dalszym ciągu chcę zobaczyć Belini, zgoda?

– Zgoda.

– Dzięki. – Dotknęła jego ręki. – Jesteś pewien, że nie chcesz jeszcze na chwilę wrócić do hamaka?

– W tej sytuacji to chyba niewskazane – mruknął.

– Okej, ale nie mów, że nie chciałam.

Gdy odchodziła, kołysząc biodrami, zastanawiała się, czy nie zmienić zdania;

Widok, który ujrzeli, wypłynąwszy z zakola, przeppełnił jej serce radością. Na brzegu bawiły się dzieci, ich matki zajęte były praniem, a na rzece z trzech łódek mężczyźni łowili ryby.

Normalne codzienne zajęcia, nie to, co zobaczyła, gdy po raz pierwszy podpływali do Tupari.

– Wyglądają na zdrowych.

– Chyba tak, ale pamiętaj, że zatrzymujemy się tu na godzinę, dwie.

Właśnie mijali jedną z łodzi, gdy rybak wyciągnął sieć. Drobne rybki podskakiwały, a woda wyciekała przez mikroskopijne dziurki sieci.

Dziwne, pomyślała Stevie, oczka w sieciach są zazwyczaj większe.

– Cholera – warknął Matt.

Przyjrzała się dokładnie.

– Matt, to nasze moskitiery.

– Widzę.

– W głowie mi się nie... Oni muszą ich używać, żeby nie wybuchła nowa epidemia. – Westchnęła. Być może nie ma czym się przejmować, bo mężczyzna w trzeciej łodzi miał sieci tradycyjne. To tylko dwie moskitiery. Niewielka strata.

Gdy dobili do brzegu, Matt ruszył na poszukiwanie wodza, by mu się zameldować, a ona udała się do szałasu Belini, ale jej tam nie zastała. Zapytała o nią sąsiadkę.

– *Perto do rio* – odparła.

Hm, przed chwilą tam była. Nie zauważyłaby Belini?

Przywitawszy się z wodzem, zwróciła się do niego z takim samym pytaniem.

– Myje nad rzeką warzywa – odparł z dumą.

Matt ujął ją pod ramię.

– Chodźmy do niej razem – zaproponował, po czym schylił głowę przed wodzem. – Żałuję, że nie weźmiemy udziału w dzisiejszej ceremonii.

– Następnym razem.

– Co to za uroczystość? – zapytała, gdy znaleźli się na ścieżce.

– Nowe zaślubiny. Nie wiem jak ty, ale ja jeszcze się nie otrząsnąłem po naszych. – Dotknął koralika w uchu.

– Bo się boisz, że się znowu upalisz.

– Tylko ja miałem problemy? Pamiętam pewne kwiaty....

– Oj, nie wspominaj. Znajdźmy lepiej Belini, zanim pod przymusem zatrzymają tu nas na noc.

Ledwie wyszli z lasu, rzuciła się ku nim kobieta z dzieckiem w chuście.

– Przyplęnąłaś w odwiedziny! Wiedziałam!

Stevie rzuciła Mattowi wymowne spojrzenie, serdecznie uściskała Belini, po czym pochyliła się nad niemowlęciem.

– Jaki on jest śliczny – rozculiła się.

– Ma na imię Stevie. – Widząc zdumienie, pospieszyła z wyjaśnieniem: – Uratowaliście mu życie, więc cząstka was będzie mu towarzyszyła do końca jego dni.

– To dla nas wielki zaszczyt – powiedział Matt, po czym dodał po angielsku: – Pierwszy raz stykam się tutaj z wyborem „obcego” imienia dla dziecka.

– Dziękuję – szepnęła Stevie, całując Belini w policzek.

Kobieta położyła dłoń na ciemnej główce.

– Modłę się, żeby podążał taką drogą jak wy. Żeby był silny, żeby

pomagał innym i żeby znalazł odpowiedniego towarzysza... jak ty.

Stevie przygryzła wargę, zażenowana kłamstwem, w którym tkwili wraz z Mattem.

– Jak odziedziczy po mamie połowę jej zalet, wyrosnie na wspaniałego człowieka.

– Zostaniecie na uroczystości? – Belini sięgnęła po białą siatkową torbę z warzywami, po czym kilkakrotnie zanurzyła ją w wodzie.

– Co robisz?! – Stevie nie wytrzymała.

Belini rzuciła jej zdziwione spojrzenie.

– To jest moskitiera z twojego szałas?

– Tak. Idealna do płukania warzyw, prawda?

– Nie... tak...

Matt położył jej rękę na ramieniu, by ją uciszyć.

W trakcie pożegnań Stevie coraz bardziej kipiała ze złości, bo na każdym kroku napotykała kawałki moskitier: jako woreczki do odcedzania sera i jogurtu, jako szmatki do mycia garnków, a nawet w charakterze wstążki we włosach.

Wybuchła, gdy weszli na pokład *Projeto Vida*.

– Dlaczego nic im nie powiedziałeś?! I nie dałeś mi wyjaśnić, dlaczego te siatki mają wisieć nad posłaniem?! – Nikt w wiosce nie miał najmniejszego poczucia winy. A do tego Belini paplająca, że tak świetnie się w nich płucze warzywa!

Warzywa! I ani słowa, że być może te siatki uratowały życie całej wiosce.

– Wyluzuj – odparł Matt spokojnym tonem, przytrzymując jej dłonie zaciśnięte w pięści.

– Dlaczego?! Żeby za pół roku usłyszeć, że wybuchła epidemia? Że

Belini i dziecko nie żyją? – Nie mogła się uwolnić z jego uścisku, więc nie pozostało jej nic innego, jak spiorunować go wzrokiem.

– Myślisz, że ty pierwsza rozdałaś im moskitiery?

– Nie, jasne, że nie.

– Kiedy minie bezpośrednie zagrożenie, zawsze w tle czai się inne niebezpieczeństwo. Głód, podarte sieci albo cokolwiek innego. Oni żyją tu i teraz, nie myślą o przyszłości.

– To po co im pomagać, jak to nic nie zmieni? Przyjechałam, żeby coś zmienić na lepsze, a nie po to, żeby mój wysiłek poszedł na marne.

Mówi o Brazylii czy Nowym Jorku?

– Staramy się ich edukować, ale nie zmieniamy ich sposobu życia ani nie chcemy, żeby się upodobnili do nas. Pozwalamy im podejmować decyzje.

– A jak te decyzje nie są słuszne? – Przytuliła się do niego, nagle wyczerpana emocjami całego dnia.

– No cóż, dajemy im wybór.

– I to cię zadowala? Łatasz dziury, zamiast zająć się przyczyną, która leży u podstaw?

– To też robię, dostarczając im narzędzi koniecznych dla przeprowadzenia zmian, tak jak ty przywożąc moskitiery. Do nich należy ich wykorzystanie, a my do niczego nie możemy ich zmusić.

Popatrzyła na niego bezsilnie. Większość lekarzy z natury rzeczy zajmuje się rozwiązywaniem problemów. Jak można widzieć problem, opracować rozwiązanie i beczynn timer patrzeć, jak jest marnowane?

Niezwykły facet. Taki... taki, którego przy odrobinie zachęty mogłaby pokochać.

Poczuła ucisk w gardle: już go kocha.

Nie. Jeszcze półtora miesiąca temu była zaręczona z innym. Nie, nie można w tak krótkim czasie pokochać kogoś innego. Ale być może wcale Michaela nie kochała. Ale chciała zostać jego żoną, chciała być z nim. Mogła go nie kochać?

Taki zdradliwy zamęt emocjonalny to najpewniej skutek poczucia odrzucenia. Bycia niekochaną. Już miała się odsunąć od Matta, gdy w wejściu stanął Nilson.

– Mateus, dzwoni pani Tracy. Mówi, że musi natychmiast z tobą porozmawiać.

Stevie serce podskoczyło go gardła. Nowa epidemia? Coś gorszego? Tracy znalazła kogoś na jej miejsce? Uznała, że nie chce, by wypalony lekarz, jak ujął to Matt, psuł opinię jej organizacji?

Nie, to Matt decyduje, a od paru dni chyba mu się tak bardzo nie spieszy, żeby się jej pozbyć. Miałby się spieszyć, skoro mu pokazała, że w każdej chwili chętnie pójdzie z nim do łóżka? Nie, on jest inny i tak jak ona usiłuje się temu opierać. Przecież mógłby to zrobić, do niczego się nie zobowiązując. A przecież płyną po prezerwatywy.

– Mam iść z tobą?

Pokręcił głową.

– Nie. Muszę z nią omówić kilka spraw.

Na osobności. Wszystkie jej obawy wróciły, ale była bezradna. Ledwie Matt ją opuścił, wszedł Nilson.

– Jesteś smutna. Dlaczego? – Położył jej rękę na ramieniu.

Potrząsnęła głową. Co powiedzieć, by nie skłamać? Nic. Jest jej źle i tyle.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

– Ciągłe jesteś zły na mnie? – Tym razem głos Tracy dobiegał bez zakłóceń.

– Miałem ochotę ci łeb ukreścić – przyznał.

– Ale już mi nie ukrećisz?

– Tak, już mi przeszło. Prawdę mówiąc, postanowiłem ją zatrzymać, więc zwalniam cię z dalszych poszukiwań.

Tracy zwlekała z odpowiedzią.

– To nie będzie takie proste – odezwała się po chwili – bo wieczorem lecę do Coari. Kiedy wrócisz?

Ściągnął brwi zaniepokojony.

– Właśnie tam płyniemy. Powinniśmy zacumować jutro po południu. Dlaczego pytasz?

– Hm... Byłeś taki wściekły z powodu zatrudnienia tej kobiety, że wykonałam kilka telefonów.

– I co? – Dlaczego kazał jej szukać kogoś nowego, nim dał szansę Stevie?

– Zainteresował się tą ofertą pewien lekarz z Londynu, Zadzwoiłam też do Craiga.

– Tego, którego praktycznie trzeba było ewakuować z Brazylii? – Chyba oszalała.

– Tak. Przyznał, że trochę się pospieszył.

– Tracy, mam już kogoś, kogo nie zamierzam przeganiać, więc niech zostanie, jak jest.

– Ma zostać, jak jest?! Myślałam, że dostaniesz apopleksji, jak się

okazało, że Stevie to kobieta.

– Nie masz. nic wspólnego z tym małym oszustwem, tak? – zachnął się.

– Wiem, jak harujesz, kiedy jesteś sam, więc nie miałam wyboru, jak tylko ci ją podesłać. Trudno mi uwierzyć, że teraz chcesz ją mieć w zespole.

Dotknął koralika w uchu, zastanawiając się, czy gdy go wyjmie, to dziurka zarośnie do następnego dnia, by Tracy niczego nie zauważyła. Tyle że wcale nie chciał się kolczyka pozbywać. Pozwolił Stevie się domyślać, że nie wyjął go przez wzgląd na mieszkańców wioski, ale nie był to jedyny powód.

– Ona pracuje lepiej, niż się spodziewałem. Co mam ci powiedzieć? – Wybrał odpowiedź dyplomatyczną, ale jego rozmówczyni milczała. – Tracy, jesteś tam?

– Jestem, jestem. Widzisz... Obiecałam mu, że polecimy razem. Poza tym, jest jeszcze jeden prob...

– To odwołaj tę obietnicę.

Westchnęła.

– Nie wiem, czy to rozsądne. Słuchaj, będę na, miejscu jutro rano, to porozmawiamy.

– Dlaczego nie teraz przez radio albo e – mailem... Jutro będę miał zasięg. Nie ma powodu, żebyś tu przylatywała. – Zwłaszcza że jeszcze nie wszystko sobie w głowie poukładał.

– To trzeba w cztery oczy.

Przeszył go zimny dreszcz.

– Zwalniasz mnie?

– Coś ty!? Matt, co się z tobą dzieje?!

Masował obolały kark.

– Nic. Chyba nie zdążymy odebrać cię z lotniska.

– Nie szkodzi, wynajmę samochód i przyjadę do portu. Cumujecie w tym samym miejscu?

– Tak.

Po tej rozmowie wyszedł na pokład i dotykając paciorka, oparł się o reling.

Na pewno spodoba się Tracy. Już słyszał pytania, na które jeszcze nie znał odpowiedzi.

Zdejmij go, zanim Tracy cię zobaczy. Nie mógł się na to zdobyć. Dlaczego?

Przecież to nie obrączka. Spojrzał na serdeczny palec, na którym obrączki nie było. Dopiero gdy ją zgubił, dotarło do niego, że Vickie nie wróci. Przez kilka godzin szukał obrączki w wodzie, aż w końcu pogodził się z jej zniknięciem. Na zawsze.

Gdyby pozbył się kolczyka, byłoby to równoznaczne ze stratą Stevie, a na to jeszcze nie był gotowy.

Czy Tracy musi przylatywać akurat teraz?

Poinformował ją, że za godzinę dopłyną do Coari i tam spotkają się z Tracy. Im później tam się znajdą, tym lepiej. Najpierw oznajmił, że wracają, by uzupełnić zapasy, w tym prezerwatywy, jakby dając jej do zrozumienia, że będą się kochać. Jednak potem, po rozmowie z Tracy, jego niecierpliwość osłabła. Wyglądał na zmartwionego tą rozmową. Przestał się uśmiechać.

Po śniadaniu zwinął hamak, twierdząc, że to w ramach rutynowych porządków przed wejściem do portu, ale Nil – son niczego w swojej kabinie nie zmienił. I nikt jej nie polecił, by zwinęła swój hamak. Westchnęła. Dobrze, że nie kazał się pakować.

W końcu jej oczom ukazał się port w Coari. To tu po raz pierwszy

zobaczyła *Projeto Vida*. Jeep Matta stał pokryty grubą warstwą brązowoczerwonego pyłu. Gdy podpłynęli bliżej nabrzeża, zauważyła kobietę, która do, nich wymachiwała. Mimo odległości zorientowała się, że kobieta jest piękna i w odróżnieniu od niej ma bujne kształty. Prawdziwa seksbomba.

Być może Matt woli brunetki.

– Gotowa? – Napięcie w jego głosie kazało jej przygotować się na najgorsze.

– Nie wiem. A ty? – Szukała wzrokiem paciorka w jego uchu. Był na swoim miejscu, choć mógłby go wyjąć, by ukryć, co się między nimi wydarzyło.

Jednak tego nie zrobił.

– Niedługo się przekonamy – powiedział, po czym pomógł Stevie zejść na ląd. – Wy chyba jeszcze się nie znacie. Tracy Hinton, Stevie Wilson – dokonał prezentacji.

Tracy, uśmiechając się, po brazylijsku pocałowała ją w oba policzki.

– Dużo o tobie słyszałam.

– Jak to? – odezwali się chórem Stevie oraz Matt, a Tracy się roześmiała.

– Owszem, ale o tym później. Opowiadajcie, jak było. Epidemia okazała się tak groźna, jak się obawialiśmy?

– Nawet bardziej. – Matt pokrótce przedstawił jej sytuację w Tupari, od czasu do czasu zerkając na Stevie. Jednak nie wspomniał o ceremonii zaślubin.

Jakby czytając w jego myślach, Tracy uniosła brwi.

– Nie zapomniałeś o najważniejszym?

– O co ci chodzi?

– O twoje ucho, głupolu. – Przyjrzała się z bliska paciorkowi. – Jak to się stało?

Ich bezpośredniość wzmogła czujność Stevie.

– To...

– Matt, nie wstydź się, to dowód wdzięczności – weszła mu w słowo, zwracając się do Tracy. – Matt uratował życie córce wodza, więc na swój sposób go uhonorowali.

Może nie do końca była to prawda, ale nagle poczuła, że nie chce, by ta kobieta wiedziała, co ona i Matt... robili. Żeby dowiedziała się o *ayahuasca* i magicznych kwiatkach. Ani o ich wspólnej nocy. Nie miała pojęcia, co ich łączy, ale mogli być kochankami.

Tracy przeniosła na nią wzrok.

– Matt kursuje po tej rzece od dwunastu lat i, kurczę, coś mu się za to należy.

– Oczywiście. Najwyższy czas. – Spojrzał na Stevie spod półprzymkniętych powiek.

Aluzja do mieszkańców wioski czy do niej... i jego?

– Okej. – Tracy przerwała milczenie. – Zarezerwowałam dla was pokoje w *pousada*. – Uśmiechnęła się do Stevie. – A dla ciebie mam niespodziankę.

– Dla mnie?

Tracy przytaknęła.

– Jeżeli dotyczy to tego, o czym rozmawialiśmy przez radio, to porozmawiamy na osobności – odezwał się Matt.

– W porządku. – Tracy ruszyła w stronę land – rovera. – Odłóżmy to, aż znajdziemy się w *pousada*, okej?

Posadzili ją na tylnym siedzeniu i zajęli się rozmową o sprawach

związanych z *Projeto Vida*. Pomyślała o obiecanej niespodziance. Nie miałyby nic przeciwko wannie oraz pachnącej soli do kąpieli. Ucieszyłby ją nawet prysznic z ciepłą wodą. Zamknęła oczy.

– Stevie, skarbie, obudź się. – Matt usiadł obok i pogładził ją po policzku.

Gdzie się podziała Tracy? Bo na przednim siedzeniu jej nie było. Zaraz... nazwał ją „skarbem”?

Otrząsnęła się.

– Już jesteśmy na miejscu?

– Tak, Tracy poszła po klucze. – Zerknął w stronę budynku po prawej stronie. – Jak się rozlokujemy, pójdziemy na spacer. We dwoje. Muszę ci coś powiedzieć.

O Boże. Czeka ją rozczarowanie?

– O Tracy?

– O Tracy? Nie, o nas.

– O nas? To ty i Tracy nie jesteście...?

– Nie jesteśmy? – Zrozumiał. – Ojej, nie! Tracy jest moją szwagierką, młodszą siostrą Vickie.

– Nie wiedziałam... – wyszeptała wstrząśnięta.

– Bo nie mogłaś wiedzieć. Nie sądziłem, że zostaniesz tu na tyle długo, żeby warto było o tym mówić. – Westchnął. – Mamy sporo tematów, ale to może poczekać. Przed nami mnóstwo czasu. Pod warunkiem, że chcesz tu zostać. A jak nie chcesz, to powiedz to teraz.

– Oczywiście, że chcę zostać.

Gdy weszli do hotelu, Tracy rozmawiała przez telefon. Uśmiechnęła się do nich i podała Mattowi dwa komplety, kluczy. Matt sięgnął w recepcji po karteczkę, coś na niej napisał i jej podał. Przeczytała ją, po czym

podniosła do góry kciuk.

– Gdzie idziemy? – zapytała Stevie.

– A gdzie byś chciała?

– Zauważyłam, że Tracy wynajęła dla nas osobne pokoje. – Zawahała się. – Czy byłaby to z mojej strony bezczelność, gdybym chciała znaleźć się w twoim?

– Skądże, bo mnie też przyszło to do głowy. Ale dla naszego dobra, najpierw musimy pójść na spacer.

Wrócili z apteki z niewielką torebką.

– Jesteś pewna?

– Oczywiście. Zapomniałeś, że to mój pomysł?

Prowadząc ją w stronę pokoju, trzymał ją za rękę.

– Jak wytłumaczymy Tracy, że nie dotrzemy jej towarzystwa? – Znieruchomiała, puszczać jego dłoń.

Chyba zauważyła Tracy na patio, pomyślał, ale zobaczył, że szwagierka rozmawia z wysokim mężczyzną w eleganckim garniturze. Tracy i jej rozmówca odwrócili się w ich stronę.

Gdy mężczyzna ruszył ku nim, uśmiechając się szeroko, Stevie cofnęła się o parę kroków.

Nim zdążył zapytać, co się stało, nieznajomy już był przy nich. Ignorując Matta, stanął przed Stevie. Gdy pocałował ją w usta, w Matcie się zagotowało. Zacisnął pięści gotowy do ataku, ale Tracy chwyciła go za ramię.

– Już mówiłam, że mam dla Stevie niespodziankę – szepnęła mu do ucha. – To dyrektor jej szpitala. Przyleciał wczoraj z Nowego Jorku.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Odkąd to dyrektorzy szpitali całują podwładne w usta? Matt uwolnił się z uścisku Tracy, ale pozostał na miejscu. Tracy skontaktowała się z byłym szefem Stevie i go tu zaprosiła?

Mężczyzna szacował Stevie wzrokiem.

– No proszę...

Stevie nerwowo poprawiła koszulę.

– Michael, co ty tu robisz? Przecież powiedziałam ci, że między nami skończone.

Skończone? O czym ona mówi?

– Przyleciałem, żeby przemówić ci do rozsądku. Nie podejrzewałem, że nasza sprzeczka skłoni cię do tak desperackiego kroku. – Uśmiechnął się leniwie. – Widzę, że po powrocie będę musiał ci to sownie wynagrodzić.

– Nie będziesz musiał niczego mi wynagradzać. Nie wracam.

– Wracasz. Rozejrzyj się. To wygląda tak samo fatalnie jak na ogłoszeniu zachęcającym do wspierania *Projeto Vida* w magazynie lekarskim. – Wsunął rękę pod jej brodę, ignorując fakt, że się odsunęła. – To nie to samo co

Lekarze bez Granic. Pamiętasz, jak siedzieliśmy w łóżku i komentowaliśmy zdjęcia z tej... „operacji”?

Matt poczuł ucisk w gardle, a Stevie rzuciła mu przepraszające spojrzenie. Tak było. Naśmiewała się z *Projeto Vida*, a ten człowiek był wtedy z nią w łóżku. Dyrektor szpitala.

Mattem targała zazdrość na przemian z poczuciem zawodu. Zorientowawszy się, że popełnił faux pas, Michael zwrócił się do niego.

– Nikogo nie chciałem obrazić, to bardzo szlachetny cel. – Strzepnął chusteczką pyłek z nogawki idealnie skrojonych spodni.

– Michael, nie życzę sobie twojego towarzystwa. Jak mnie tu znalazłeś?

– Przez twojego portiera. Dobrze, że zatrzymałaś to mieszkanie, bo ci się przyda. Nawet mi do głowy nie przyszło, że dla kaprysu zrezygnujesz z kariery.

– Dla kaprysu? – prychnęła. – Chyba nie dla kaprysu. To ty się o to postarałeś na forum rady lekarskiej.

– Przyznaję, że zareagowałem zbyt ostro. W zeszłym tygodniu rada się zebrała i orzekła, podobnie jak ja, że chodziło ci wyłącznie o dobro pacjenta. Dyrekcja chce, żebyś wróciła. Ja też. Szkoda, żebyś marnowała swój talent w takim miejscu. – Dotknął jej ręki. – Wiedz, że nie anulowałem naszej podróży poślubnej.

Podróż poślubna? To jej narzeczonemu? Wspomniała o kimś, ale zastrzegła się, że to skończone.

Matt zacisnął palce na torebce, w której znajdowało się opakowanie prezerwatyw... i w jego mniemaniu początek nowego życia. W oczach Tracy wyczytał współczucie. Tracy wie.

– Byłaś zaręczona? – zwrócił się do Stevie. – Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Pozwoliła mu na wyrafinowane pieszczoty, a to, jak ona go pieściła... Zacisnął powieki, by pozbyć się tego wspomnienia.

– To skomplikowane... Ale masz rację, powinnam była ci powiedzieć. Skomplikowane.

Znała szczegóły z jego prywatnego życia, wiedziała, że miał żonę, ale własną przeszłość przemilczała.

– Doszło do nieporozumienia, ale narzeczoną to się zdarza. – Michael chyba wyczuł, że coś ich łączy.

– Nie myślisz, że Maria to zdecydowanie więcej niż nieporozumienie? Chyba trafiła w czuły punkt, bo wargi lekko mu drgnęły.

– Popelnilem błąd. Porozmawiamy o tym później. Jak będziemy sami – dodał z naciskiem.

– Nie mamy o czym.

Tracy, wyraźnie zażenowana sytuacją, dała Mattowi znak, by się oddalili. On jednak ani myślał.

– To dlatego przyleciałaś do Brazylii? – zapytał. – Bo obraziłaś się na szpital i narzeczonego?

– Nie.

– Tak.

Stevie i Michael odezwali się w tej samej chwili.

– Stevie, jaka jest prawda?

– Weszłam w konflikt z radą szpitala, ale to nie jedyny powód. Tego rodzaju praca od dłuższego czasu chodziła mi po głowie.

Jej były narzeczoną roześmiał się z niedowierzaniem.

– Czyżby? Byliśmy zaręczeni od dwóch lat, ale ani razu nie napomknęłaś o wyjeździe do Brazylii. – Spojrzał na Matta. – Powiem ci, dlaczego tu przyjechała. Bo szpital ją zawiesił za nieprzestrzeganie procedur.

– Michael, proszę...

Kłamała, pomyślał Matt z ciężkim sercem. We wszystkich kwestiach. Powiedziała, że wybrała Brazylię, by coś zmienić na lepsze. W rzeczywistości wyrzucono ją z pracy, więc szukała zatrudnienia. Przemówiły do niej rozpaczliwe apele *Projeto Vida*.

Apele, które wyśmiewała. On żyje programem *Projeto Vida*, a ona z tego drwiła!

Spała z jednym szefem, więc co jej przeszkadzało spać z następnym? Oszukała go? Omamiła tym niewinnym spojrzeniem i seksownym głosem? A on był o krok od wyznania, że...

– Michael – odezwał się – zjawileś się w samą porę, bo Tracy ma chętnego na jej miejsce. – Omiótł wzrokiem Stevie. – Wiesz, że Tracy szukała kogoś innego, bo statek nie jest przystosowany dla potrzeb zespołu złożonego z kobiet i mężczyzn. Widziałas, co się wydarzyło w Tupari.

– Tak, ale powiedziałaś, że...

– Wiem, co powiedziałem – uciał. Pomylił się, i to nie raz, ale postanowił to naprawić jednym okrutnym cięciem.

– Lekarz, który był przed tobą, postanowił wrócić, więc musimy dotrzymać słowa.

– Co takiego?! Kiedy to się stało?

– Tracy powiedziała mi o tym wczoraj przez radio.

– Wczoraj... a dzisiaj byłeś skłonny... – Kiwnęła głową w stronę torebki w jego ręce. – Ojej...

Na widok łez w jej oczach mało brakowało, a by się załamał. Cisnęło mu się na usta, że to nieporozumienie, ale gdy ocierała łzy, podszedł do niej Michael i ją objął. Ten gest utwierdził Matta w jego postanowieniu. Za miesiąc, za rok Stevie by stwierdziła, że Brazylia jej nie odpowiada. Na pewno zaczęłyby tęsknić za pracą w Nowym Jorku. Lepiej, by miała go za drania i szybko to skończyć, niż później patrzeć, jak odchodzi, łamiąc mu serce.

– Spakujesz się sama czy mam poprosić Nilsona, żeby ci pomógł?

Rzuciła mu spojrzenie pełne dumy i zarazem nienawiści.

– Nie martw się o mnie. Zniknę ze statku za godzinę.

– Dziękuję. Poproś Tracy, żeby zarezerwowała ci bilet na samolot. –

Odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę baru. Musiał się napić. Przed samymi drzwiami przystanął, by się obejrzeć. Napotkał wzrok Stevie.

Aby postawić sprawę jasno, wrzucił torebkę z apteki, wraz z całą swoją nadzieją, do pojemnika na śmieci. Teraz Stevie już nie będzie miała złudzeń.

Skończone. Nie potrzebuje jej.

Nie potrzebuje nikogo.

– Założę się, że nie mogłeś żyć beze mnie. – Craig jowialnie grzmotnął go w ramię. Gdyby wiedział, że o mało nie dostał w zęby, od razu przestałby żartować. – Pamiętasz, jak pięknie zszyłem rękę tej małej Indiance? Nawet nie będzie miała blizny.

Mała Indianka? Cholerny protekcyjnalny ignorant...

Tiago, który właśnie wrócił po przymusowej dwutygodniowej przerwie, nerwowo wsunął się między nich.

– *Calma, Mateus.*

Spokój? Matt był bardzo spokojny. Nawet rozluźnił zaciśnięte palce. Nie mógł jedynie poradzić sobie z bólem karku, który dokuczał mu już od dobrych kilku dni. Gdyby była Stevie...

Wyjechała. Sam chciałeś, by wyjechała, zapomniałeś? Skierował myśli na inny tor.

– Jak Nilson? – zapytał Tiago.

– Siedzi na pokładzie i łowi ryby na lunch. Ale się odgraża, że niedługo weźmie się do prawdziwej roboty. Mówi, że uwłaczasz jego męskości, przydzielając mu prace odpowiednie dla dziecka.

Gdy Matt przejmował się ranką Stevie, nikomu nie przyszło do głowy,

że to Nilson złapał dengę. Członek jego załogi. Tiago został we wsi, a Stevie wyjechała, więc to Matt w pojedynkę zajmował się chorym w długie noce, kiedy wysoka gorączka wywoływała tak silne drgawki, że Nilson stracił dwa zęby. To Matt przywiązywał mu ramię do poręczy łóżka, by podać mu kroplówkę. Mimo to, trzęsąc się i jęcząc z bólu, Nilson upierał się, że musi wracać do pracy.

To Wspomnienie przywołało obraz Stevie. A gdyby to ona... Potrząsnął głową, żeby odegnać tę myśl.

– Jeszcze przez kilka dni Nilson musi się oszczędzać, żeby nabrać sił. Powiedz mu, że nie chcę go stracić, bo ma dla mnie zbyt dużą wartość.

Craig tymczasem uważnie oglądał swoje ramię. Dobry humor zdecydowanie go opuścił.

– Co robisz? – zapytał Matt.

– Ten człowiek może dalej zarażać. Nie rozumiem, dlaczego pozwalasz mu przebywać na statku razem z nami. Powinien być objęty kwarantanną. – Pociągnął nosem. – Gdybym wcześniej wiedział, że ten człowiek chorował na dengę, przełożyłbym lot na później.

Tym razem to Tiago zacisnął zęby. Dwuosobowa załoga *Projeto Vida* pracowała na statku od samego początku, od dwunastu lat, więc Tiago nie był gotowy tolerować narzekań Craiga na zagrożenie ze strony Nilsona, jakby Nilson był tylko i wyłącznie nosicielem choroby. Matt spojrzał na Craiga spode łba.

– „Ten człowiek” ma imię. Będę wdzięczny, jeśli będziesz go używał.

– Jasne, nie miałem nic złego na myśli. Ale jak Tracy zadzwoniła do mnie, powiedziała, że nieoczekiwanie opuścił cię partner. – Wzruszył ramionami. – To znaczy, że nie tylko ja miałem problemy z przystosowaniem do życia na Amazonce.

Stevie nie miała z tym żadnych, problemów. Nigdy nie narzekała na warunki, troszczyła się o Belini i jej dziecko... o wszystkich. Do tego stopnia, że się wściekła, gdy pocięli moskitiery, by je wykorzystać do innych celów.

Odchodził od zmysłów z powodu komara, który ją użądlił, ona tymczasem rozsądnie upierała się, że musi dokończyć to, co zaczęła. A on, idiota, odesłał ją do domu. Idiota przerażony, że straci drugą kobietę, na której mu zależało. Właśnie dlatego skorzystał z szansy, by się jej pozbyć. I dlatego uwierzył, że przyleciała do Brazylii, bo nie miała wyjścia. Wszyscy widzieli, że jej się tu podoba. I że chciała zostać. Z nim.

Nie miał jej za złe powodów, dla których znalazła się w Amazonii, ani tego, że niedawno wyrwała się z nieudanego związku. Nie, to tylko preteksty. Kłamstwa. Prawdziwy motyw, dla którego chciał się jej pozbyć, sięgał głębiej. I był zdecydowanie bardziej osobisty.

Bał się. Bał się, że Stevie stanie się coś, co mu ją zabierze. Bał się, że ją pokocha, a ona go porzuci. Więc ją oddalił, odbierając jej szansę zostania... lub odejścia.

Podły egoista. Cholera, już ją kocha. Dowodem na to jest ten koralik w uchu. Został jej poślubiony. Nie w urzędzie, ale w sercu. Jeśli udało mu się pchnąć ją z powrotem w ramiona narzeczonego, nie wybaczy sobie tego do końca życia. Musi ją zobaczyć, zapytać, czy nadal go zechce.

Spojrzał na swojego, hm, partnera.

– Stary – zwrócił się do Craiga – szykuj się na chrzest bojowy, bo ja muszę wyjechać. Albo mnie zastąpisz, albo zabieraj się z powrotem do Stanów, decyduj.

– Ale... ale nie możesz mnie zostawić samego. Dopiero przyjechałem.

– Gdy Matt milczał, Craig zrobił obrażoną minę. – Powinienem był się

domyśleć, że za bajeczką Tracy kryje się coś więcej.

Podziałało jak dotknięcie czarodziejskiej różdżki. Matt zamknął oczy i głęboko odetchnął.

– Ale jest też dobra wiadomość. Dzięki tobie zrozumiałem, że jestem skończonym bydlakiem. Ale to się zmieni.

– Nie powiedziałbym, że jesteś bydlakiem. Ale nie możesz wyjechać...

– *Mateus*, przywieziesz Stevie? – zapytał Tiago, spoglądając na niego z nadzieją.

– Tak jest.

Craig wziął się pod boki.

– Kim jest ten Stevie?

– Stevie Wilson cię zastąpi, jak mi się uda ją do siebie ponownie przekonać. – Odwrócił się i ruszył zajrzeć do Nilsona oraz poszukać paszportu.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Przeglądając dokumentację, szła do gabinetu, gdzie czekała na nią pacjentka. Kobieta dobiegała czterdziestki, gdy nieoczekiwanie zaszła w ciążę i równie nieoczekiwanie nabawiła się złamania kompresyjnego dwóch kręgów piersiowych. Była chodzącym dowodem na to, że nawet w krajach rozwiniętych złe odżywianie w dzieciństwie może mieć poważne następstwa.

Stevie przypomniała się Belini. Oraz Matt. Zaciśnęła zęby i ponownie skupiła uwagę na pacjentce.

– Nie jeździ pani konno szybciej niż stępem? – upewniła się. – Jako wytrawna zawodniczka *barrel racing* i instruktorka jazdy konnej pacjentka praktycznie całe życie spędzała na koniu. To był jej zawód. Dopiero czas miał pokazać, czy do niego wróci.

– Bardzo mi ciężko – westchnęła. – Co innego nie jeździć konno przez czas ciąży, a co innego pogodzić się z myślą, że to koniec wszystkich marzeń.

Stevie doskonale to rozumiała. Przećwiczyła to na własnej skórze. Położyła kobiecie rękę na ramieniu.

– Dajmy organizmowi trochę czasu. Złamania się zagoiły, ale trzeba jeszcze popracować nad wzmocnieniem mięśni pleców. – Uśmiechnęła się. – Ja też jeździłam konno, ale w stylu western. *Barrel racing* i styl western są bardzo różne, ale zapewniam panią, że styl western jest trudniejszy, niż się wydaje, a wolne ruchy są łaskawsze dla kości i stawów niż wyścigi na czas. Pozna pani nową dyscyplinę. To może być interesujące wyzwanie.

Kobieta rozważała jej słowa.

– Nie pomyślałam o tym – przyznała. – Na pewno będzie mi brakowało wyścigów, ale to zdecydowanie lepsze niż nic.

Stevie coś o tym wiedziała. Tęskniła za Brazylią, aczkolwiek praca w klinice w Atlancie była lepszym wyjściem niż całkowita rezygnacja z uprawiania medycyny. Poza tym nie wiązała się z oglądaniem byłego narzeczonego. Gdy tylko z jej dokumentów zniknęła uwaga o zawieszeniu dyscyplinarnym, złożyła podania do kilku klinik. Ta w Atlancie zgodziła się ją zatrudnić na półroczny okres próbny.

Podobnie jak Matt i Tracy. Dawali jej dwa lata, z czego Matt dał jej mniej niż jedną dziesiątą tego.

Po raz drugi znalazła się na bruku na skutek kaprysu rozgniewanego mężczyzny. To już się nie powtórzy.

Pacjentka spojrzała na zegarek.

– O rety! Na panią czekają inni pacjenci, a ja muszę odebrać Alex ze szkoły. – Objęła Stevie. – Dziękuję. Dodała mi pani otuchy. Mój koń nie będzie bardzo szczęśliwy, ale się przyzwyczai.

Gdy kobieta wyszła, Stevie ze zbolałym sercem opadła na fotel. Nie był to jednak ból fizyczny. W każdej wolnej chwili jej myśli biegły do Matta. Do Nilsona, Tiaga i Belini. Każdego dnia pracowała do upadłego, by wymazać z pamięci ten bolesny rozdział w życiu.

O wiele łatwiej było zapomnieć o Michaelu. Fakt, że stało się to tak szybko, pokazywał, że ten związek od samego początku był skazany na fiasko. Miała nadzieję, że podobnie będzie z uczuciem do Matta. Że w nowej pracy powoli zblaknie. Nic z tego.

Do gabinetu zajrzała pielęgniarka Penny.

– Ma pani pacjenta w dwójce.

– Wydawało mi się, że już wszystkich przyjąłem.

– Tak, ale zgłosił się ktoś z polecenia doktora Henry ego. Podobno nagły wypadek.

– Podobno?

– Dowiemy się, jak go pani zbada – prychnęła Penny, podając jej kopertę z dokumentacją. – Powodzenia. Facet nie chce się przebrać w fartuch.

– Trudno. – Wyjęła z koperty niezapisane kartki. – Tu nic nie ma. Co mu dolega?

– Mówi, że boli go kark i że tylko pani potrafi przynieść mu ulgę.

– Ja? Pomylił mnie z kimś innym. Nie zajmowałam się żadnym karkiem od...

Znieruchomiała. To niemożliwe. Upuściła czyste kartki na biurko.

– Pani doktor, dobrze się pani czuje?

– Nie wiem. – Ruszyła do gabinetu numer dwa. Położyła dłoń na klamce, cofnęła ją, po czym kilka razy głęboko odetchnęła.

Stevie, weź się w garść. To nie on.

Jej serce było innego zdania. Weszła do gabinetu przygotowana, że spotka ją rozczarowanie, ale na widok ciemnej czupryny stanęła jak wryta.

Opierając się o ścianę, Matt kartkował najnowszy numer “Journal of the American Medical Association”. Przez ułamek sekundy podejrzewała, że ma halucynacje. Od powrotu do Stanów myślała o nim praktycznie bez przerwy, śniła o nim. Mózg spletał jej figla?

Ale gdy Matt podniósł na nią wzrok, zrozumiała, że to nie przywidzenie.

– Jak mnie znalazłeś? – wykrztusiła.

– Przez Michaela.

– Jak to?

– Twój były nie był zadowolony, że opuściłaś jego szpital. Ale tak go zagadałem, że wszystko wyśpiewał.

– To wyjątkowo nieprofesjonalne z waszej strony.

Odłożył egzemplarz czasopisma.

– Od kiedy cię poznałem, już nieraz postąpiłem nieprofesjonalnie. Chciałem cię przeprosić.

Splotła ręce na piersi, by dodać sobie odwagi. Jeśli sprowadziło go tu nieuzasadnione poczucie winy, że tak ją potraktował, to niech lepiej zabiera swoje wyrzuty sumienia z powrotem do Brazylii.

– Nie ma za co. – Rozejrzała się po gabinecie. – Jak widzisz, spadłam na cztery łapy.

– Nie wróciłaś do Michaela. Ani do jego szpitala.

– Nie, chociaż to nie twoja sprawa. Mówiłam ci, że to skończone. Żle by się mi z nim pracowało. Poza tym Atlanta bardzo mi się podoba. Nie wyobrażam sobie, żebym mogła mieszkać gdzie indziej.

Kolejne kłamstwo? Gdy podrapał się po brodzie, zauważyła koralik w uchu.

– Hm, to znaczy, że przyjechałem tu niepotrzebnie.

Ale po co w ogóle przyjeżdżał? Chyba nie po to pokonał sześć tysięcy kilometrów, by ją przeprosić.

– Sprawdza się ten nowy... Craig?

– Nie, Tak, Craig.

– Jak to? Co się stało?

– Nie był tobą. – Wbił w nią wzrok.

– Nie był mną? – Chyba nie zrozumiała. – Przepraszam, możesz powtórzyć?

Podszedł do niej.

– Powiedziałem, że nie był tobą. Nilson zachorował.

– Ale wyzdrowiał.

– Tak, już jest zdrowy. Po twoim wyjeździe dopadła go denga.

– To okropne, ale jak mówisz, już jest dobrze. – Dlaczego jej o tym mówi?

– Ale było bardzo źle. Jego choroba była konieczna, żebym ostatecznie zrozumiał, dlaczego chciałem, żebyś wyjechała. To nie miało nic wspólnego z twoim narzeczoną ani z powodem wyjazdu ze Stanów.

Więc co? – pomyślała ze ściśniętym sercem. Jakieś jej nowe przewinienie?

– Nie rozumiem.

– Na pewno?

Potrząsnęła głową, bo słowa uwieźły jej w gardle.

– Kiedy Tracy poszła po klucze, zapytałem, czy chcesz zostać, pamiętasz?

Pamiętała każdą sekundę.

– Tak, ale nie rozumiem, jaki ma to związek z czymkolwiek.

Penny uchyliła drzwi.

– Wszystko w porządku?

– Tak – odpowiedzieli zgodnym chórem.

– To dobrze. – Pielęgniarka zniknęła.

– Kiedy zobaczyłem... jak Michael cię całuje – ujął ją za rękę – zdałem sobie sprawę, że możesz odejść niezależnie od tego, czy ci każe, czy nie. Albo że zostaniesz, ale coś mi cię odbierze. Coś, na co nie mam wpływu.

Nareszcie do niej dotarło.

– Na przykład denga?

– Tak, ale wtedy nie zdawałem sobie z tego sprawy. Widziałem to jedynie jako sposób uwolnienia się od zżerającego mnie strachu, więc skorzystałem z okazji.

– Pomogło?

– Nie, bo było już za późno. Już cię pokochałem.

– Pokochałeś mnie? – Przysięgała sobie, że więcej nie pójdzie tą drogą, ale na nic się to zdało. Jej serce sprzeciwiało się rozsądkowi.

Bo ją pokochał!

– Mam do wyboru albo żyć z tym strachem, ale spróbować szczęścia, albo żyć bez tego i cierpieć.

– Cierpisz?

Mocniej uściskał jej rękę.

– Każdy dzień bez ciebie to prawdziwe piekło. Kiedy Tiago dowiedział się, że lecę do Stanów, wskoczył do rzeki z okrzykiem „Alleluja!”.

Uśmiechnęła się.

– Ja też cierpiałam. Nie ty jeden się zakochałeś podczas tej wyprawy.

– Dzięki Bogu – wyszeptał.

– Chcę wrócić do Amazonii.

– A co z twoją pracą?

– Jestem tu na okresie próbnym.

– A jak tu spodoba ci się bardziej?

– Nie spodoba, bo ciebie tutaj nie ma. – Pogładziła go po włosach. –

Myślisz, że potrafisz z tym żyć?

– Z czym?

– Ze strachem.

Westchnął.

– Nie obiecuję, że nie będę się martwił. Myślę, że czasami nawet będę doprowadzał cię do rozpacz.

– Za to ja nie obiecuję, że nie zachoruję ani że nie umrę. Ale mogę obiecać, że będę ostrożna, pod warunkiem że obiecasz mi to samo.

Dotknął paciorka w uchu.

– Najważniejszą przysięgę już złożyłem. Ale chcę ją sformalizować.

Wyjdiesz za mnie? Zostaniesz moją żoną przed Bogiem i resztą świata?

– Za późno, głuptasie, już nią jestem.

EPILOG

– Juju, chodź się bawić! – wołał dwuletni Stevie, synek Belini.

June Christina Palermo, córeczka Stevie i Matta, niezdarnie podreptała w jego stronę.

– Dobrze było tu wrócić... – westchnęła Stevie, przytulając się do Matta, który pocałował ją w czoło.

Spędzili w Stanach blisko dwa lata i w tym czasie przyszła na świat June. Obawiając się, że ciąża poruszy w Matcie bolesne wspomnienia, Stevie się uparła, że urodzi w szpitalu w Atlancie.

Był to bardzo szczęśliwy okres i Matt ani myślał o powrocie nad Amazonkę, a powinien, by spojrzeć na nią z dystansem, do czego wcześniej nie był zdolny. Postanowili, że decyzję, czy zostaną, czy wrócą do Stanów, podejmą na miejscu. Ale widząc, jak serdecznie Matt wita się z wodzem Tupari, poczuła, że chyba nie miałby nic przeciwko powrotowi do zespołu *Projeto Vida*.

– Kocham cię – szepnęła.

– Cieszę się, bo gdyby było inaczej... – kiwnął głową w stronę dzieci baraszkujących na polanie – nie byłoby jej tutaj.

Z rozczuleniem dotknęła złotego kolczyka w jego uchu, prezentu od Stevie z okazji pierwszej rocznicy, po czym się do niego przytuliła.

– Całe szczęście, że w porę oprzytomniałeś, bo inaczej do tej pory pracowałabym sześćdziesiąt godzin w tygodniu.

– Będzie ci brakowało kliniki?

– Szczerze? Tak. – Jej spojrzenie powędrowało tam, gdzie rzeka toczyła swoje leniwe wody. Żyjąca, wolna, niosąca życie... i śmierć

mieszkańcom zamieszkującym jej brzegi. – Ale brakowało mi też tej rzeki.
A tobie?

– Nie tęskniłem za nią, dopóki nie znaleźliśmy się tutaj. Ale widząc ich razem... – Objął ją mocniej. – Tak, brakuje mi jej.

– Jest doskonała.

Belini pomachała im, niosąc pełne warzyw sito zrobione z moskitiery.
Matt westchnął.

– Nie, wcale nie jest doskonała, ale niewiele jej brakuje.

Wymownie uniosła brwi.

– Wczoraj wieczorem mówiłeś co innego.

Pocałował ją namiętnie, wspominając minioną noc.

– Całe szczęście, że Juju nareszcie nauczyła się zasypiać sama.

W aneksie jadalnym rozwiesili dla niej hamak spowity szczelnie moskitierą. Nieustający szum silnika uspił małą błyskawicznie.

– Myślisz, że dzisiaj też się nam uda? – zapytała.

Matt spojrzał na Belini.

– Mam lepszy pomysł. Zaczekaj tutaj.

Podszedł do Belini, która płukała warzywa, szepnął jej coś do ucha, a ona z uśmiechem przytaknęła, szelmowsko uśmiechając się do Stevie.

Wrócił do niej i podał jej rękę, ale gdy pociągnął ją w stronę wioski, zawahała się.

– Po co?

– Pamiętasz naszą noc poślubną?

– Oczywiście. – Rzuciła mu zdziwione spojrzenie.

– Nie tę w Stanach, ale tę po ceremonii zaślubin, którą zorganizowali nam mieszkańcy Tupari.

– Pamiętam. – Rozkochanym wzrokiem spojrzała na jego kolczyk.

– Belini zgodziła się popilnować Juju. Poprosiłem ją też, żeby kobiety nazbierały tych magicznych kwiatów i rozsypały je w naszym szałasie.

Przeszył ją rozkoszny dreszczyk.

– Fajka też będzie palona?

– Nie, tym razem będzie jak należy.

Gdy przeniósł ją przez próg szałasu, jej oczom ukazało się morze płatków, zaścielały wszystkie sprzęty. Przytuliła się do niego, wdychając upojny zapach. Nie kwiatów, lecz mężczyzny, który ją niósł. Jej męża.

– Już jest cudownie – wyszeptała, gdy zaczął ją obsypywać pocałunkami. – Bo mamy siebie.